Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 35 — Niedziela, dnia 29 sierpnia 1926 roku — Rok 2

Przedstawicielstwa Redakcji i Administracji:
w WARSZAWIE: Alfred Wilecki, Wilcza 16, tel. 305-07
w POZNANIU: Jan Kozubski, Skarbowa 7, tel. 28-58

Adres Redakcji:
Łódź, Piotrkowska 85
Telefon Nr. 45-50
Godziny przyjęć: od 5—7 popoł.
prócz niedziel i świąt
Konto w P. K. O. Nr. 63,353.

PRAWDA

Cena egzemplarza
30 groszy
W prenumeracie z dostawą do domu 4 zł. na trzy miesiące
Konto w P. K. O. Nr. 63,353

NIEZALEŻNY ORGAN TYGODNIOWY

Sprawy tygodnia

ELEMENT LEGJONOWY.

W prasie, która bez zastrzeżeń akceptuje określenie prasy „obozu odrodzenia moralnego", dużo miejsca poświęca się sprawie reorganizacji administracji cywilnej państwa we wszystkich jej gałęziach, przyczem gorliwie zaleca się następujący sposób postępowania: najpierw przedewszystkiem i natychmiast należy przeprowadzić zmiany personalne a potem dopiero będzie czas myśleć o zmianie systemu. Przy przeprowadzeniu zmian personalnych prasa ta zaleca takie wytyczne: usunąć ze stanowisk kierowniczych lub w inny sposób wpływowych tych urzędników, którzy pozostają w jakimkolwiek stosunku do stronnictw politycznych, tworzących ongiś większość rządu posła Witosa lub skompromitowali się nadużyciami, albo niedołężnem spełnianiem obowiązków. Miejsca ich obsadzić należy „elementem legjonowym".

Szybko powiedziane, ale słabo przemyślane.

Element legjonowy — rozumieć musimy pod tem określeniem byłych legjonistów, a jeszcze ściślej uczestników walk legjonowych.

Ilu może ich być, którzy przy najliberalniejszej klasyfikacji nadawaliby się na stanowiska odpowiedzialne w służbie państwowej — w cywilnej administracji państwowej?

Legjonistów, zapisanych w rejestrach chaotycznie prowadzonej ewidencji różnych placówek ewidencyjnych legjonowych było przeszło 40 tysięcy. Przyjmijmy cyfrę 45 tysięcy. Ale stan liczebny wszystkich oddziałów legjonowych po ich zjednoczeniu, t. j. po powrocie II brygady z Węgier na front na ziemiach polskich, nie przekraczał nigdy 20 tysięcy łącznie z kadrami, szpitalami i t. p. formacjami pomocniczemi. Reszta to polegli, inwalidzi i wielokrotnie zapisani do list ewidencyjnych w różnych miejscach.

Z tej cyfry 20 tysięcy conajmniej połowa to szeregowi bez żadnego cenzusu, młodzież wiejska i miejska, która po zakończeniu wojny wróciła na rolę lub do warsztatów pracy, a częściowo pozostała w szeregach w stopniach podoficerów zawodowych.

Z pozostałej drugiej połowy znaczny odsetek stanowiła młodzież zdolna, która już jako półinteligencja przyszła do szeregów, bądź też umysłowo rozwinęła się w szeregach legjonowych, których środowisko ogromnie sprzyjało takiemu rozwojowi.

Reszta dopiero, w liczbie kilku zaledwie tysięcy, to inteligenci, mający poza sobą odpowiednie wykształcenie szkolne. Z tych 80 procent pozostało w służbie wojskowej, osiągnęło wyższe stopnie oficerskie i umiłowało swój zawód. Pozostali opuścili szeregi i zajęli częściowo stanowiska w służbie państwowej, częściowo w prywatnej, lub wreszcie wrócili do własnych warsztatów pracy lub zawodów.

Gdzież więc jest ten element legjonowy, któryby byłby gotów a nadewszystko który kwalifikowałby się do obejmowania stanowisk w służbie państwowej: w administracji, policji, skarbowości, monopolach, zarządzie własnością państwową i t. d., i t. d.?

W rachubę wchodzić może: setka z kilkoma dziesiątkami oficerów legjonowych, którzy zostali zdemobilizowani po ukończeniu wojny, jako nieposiadający kwalifikacyj do czynnej służby w czasie pokoju, z których część rzeczywiście naprożno wszędzie puka o pracę i zarobek i może drugie tyle tych, którzy zdecydowaliby się zdjąć mundur oficerski lub opuścić zajmowane stanowiska i przejść do państwowej służby cywilnej.

Pomijając już to, że z tej garstki znowu połowa przy najżyczliwszej ocenie nie nadaje się na stanowiska wybitniejsze, jest ona tak szczupłą, że wszelkie powoływanie się na element legjonowy, jako gotową kadrę, z której można formować szeregi działaczy w cywilnej administracji państwowej, jest tylko deklamacją.

Chyba, że się po cichu szersze nadaje znaczenie określeniu „element legjonowy". Ale wtedy wkraczamy już na pole polityki i zagony partyjne, czyli tam, gdzie element legjonowy — ten prawdziwy i autentyczny nie chadza, kierując się moralnością ponadpartyjną i hodując w duszy ideał wolnej, wielkiej i silnej Rzeczypospolitej, a nie program partyjny.

Piłsudski, tworząc kadry armji polskiej nie rozbijał niczego — jednoczył w nich najlepszych i najofiarniejszych w imię ideału, co do którego istniała pewność, że krew zań wylać przyjdzie i tylko wiara, że zostanie ziszczony.

Dlatego tym, których zjednoczył w tym ideale, gdy się w rzeczywistość zamienił i powstała armja polska, czołowych miejsc w jej szeregach odmawiać nie można. Im się należą, bo wolne były i nikt o nich nie myślał, gdy wyruszali tworzyć je. Przeciwnie drwiono z nich i za niebezpiecznych szaleńców miano.

Ci, co dzisiaj usiłują tworzyć kadry administracji cywilnej, nie dowiodą na sercach i duszach biegnącej do nich gromady, że przyświeca im wzniosły ideał — bo wyrusza na zdobycie rzeczy konkretnych, istniejących: posad. To nie element legjonowy, lecz kondotjerzy, biegnący do zwycięzcy, bo węszą łup.

* * *

AFERY.

Dotychczas wiele mówiło się o nadużyciach, aferach, okradaniu skarbu państwa, ale przykładów nie cytował nikt. Ostatnio warszawski „Głos Prawdy" zaczyna codziennie publikować szczegółowe rewelacje.

Dowiadujemy się więc o skandalicznych stosunkach, jakie przez wiele lat panowały w warszawskim urzędzie śledczym.

Agenci policji kryminalnej pozostawali w ścisłych stosunkach z włamywaczami, złodziejami mieszkaniowymi, kieszonkowymi, brylanciarzami, i to za wiedzą przełożonych.

Zamiast tropić złodziei, wykupywano od nich za gotówkę skradzione przedmioty, jeśli chodziło o poszkodowanych, na opinji których policji kryminalnej zależało. Często zdarzało się, że funkcjonarjusze policji sami organizowali włamania i kradzieże.

O stosunkach panujących w tym urzędzie wiedziało wielu ludzi — donoszono nawet o niektórych wypadkach nadużyć władzom przełożonym, jednak nikt nie chciał, czy nie miał odwagi zająć się przeprowadzeniem dochodzeń. Dopiero teraz zaczęło się tam generalne czyszczenie.

Powoli zaczynają też na jaw wychodzić afery „polityczne" — afery z udziałem różnych osobistości ze świata politycznego. Nie wiemy, jak długo zechce „Głos Prawdy" kontynuować swoje rewelacje, pozostające dotychczas bez odpowiedzi zainteresowanych i nazwanych z imienia i nazwiska osób i instytucyj, należałoby sobie jednak życzyć, aby jak najdłużej. Może w ten sposób rozwiane zostaną mroki, kryjące dyskretnie początki fortun materjalnych niektórych „mężów stanu", którzy wkręcali się do wpływowych stronnictw politycznych poto tylko, by dla swej nicości uzyskać znak partyjny i dostęp do władzy. Ofiarą takich ludzi padał majątek państwowy i stronnictwa polityczne, zręcznie uwikłane w krąg ich brudnych interesów.

O ile wobec takich ludzi wolno nie mieć żadnych skrupułów — o tyle nie wolno win ich rozciągać na całe stronnictwa. Przywódcy większości naszych stronnictw politycznych, gdy wstępowali na arenę w Polsce Niepodległej, nieświadomi byli materjalnej wartości swoich stronnictw politycznej roli.

I nic w tem dziwnego — z praktyczną stroną państwowości nigdy nic wspólnego nie mieli.

Opowiadano nam raz, jak jakiś sprytny obrońca sądowy dowiedziawszy się o decyzji prokuratora, zwalniającej z aresztu śledczego jakiegoś oskarżonego — pobiegł natychmiast do zatroskanej, w niepewności i strachu pozostającej rodziny delikwenta i oświadczył iż jest w stanie spowodować zwolnienie go z aresztu, o ile otrzyma pewną kwotę na łapówkę dla prokuratora. Oczywiście natychmiast otrzymał, czego żądał i z ojcem oskarżonego pobiegł do sądu. Zostawił go na korytarzu a sam wszedł do pokoju prokuratora — po chwili wyszedł i wręczył uradowanemu ojcu decyzję, zwalniającą syna z aresztu. Czy wolno obwiniać prokuratora o przekupstwo?

Takich spryciarzy, jak ten obrońca, wielu wkręciło się do stronnictw politycznych, sprzedawali rządowi względnie ministrom decyzje, na które w rzeczywistości wpływu nie mieli — a szczególnie sprytni umieli sami zostać ministrami i pod firmą stronnictw grabić mienie państwowe.

Jeśli rozpoczynająca się kampanja przeciw aferzystom i hienom politycznym ma być przejawem prawdziwej troski o dobro państwa a nie aktem politycznej zemsty — stronnictwa polityczne w żaden sposób — nawet gdyby oskarżeni usiłowali to w obronie własnej czynić — nie mogą być posądzane o świadome współdziałanie ze złodziejami i hochsztaplerami politycznymi. I jeszcze jedno: procesy należy wytaczać i szybko przeprowadzać.

* * *

ROZKAZ TORUŃSKI.

Dowódca korpusu w Toruniu, generał Berbecki, zabronił oficerom, podoficerom i żołnierzom czytania i nabywania dziennika toruńskiego „Słowo Pomorskie", zagroził, iż zabroni wojskowym uczęszczać do lokali, w których znajdować się będzie ten dziennik i wreszcie zabronił oficerom utrzymywania towarzyskich stosunków z członkami redakcji tego pisma.

Przyczyny: „Słowo Pomorskie" jako organ prawicowy prowadzi namiętną kampanję przeciw marszałkowi Piłsudskiemu, jako autorowi przewrotu majowego i jako ministrowi wojny. Zdaniem generała Berbeckiego taktyka „Słowa Pomorskiego" wykracza poza ramy dozwolonej walki politycznej i nosi cechy akcji przeciwpaństwowej, którą należy kwalifikować tak samo jak akcję komunistyczną.

Oczywiście robi się huczek. Prasa prawicowa bije na alarm, straszy materjalizującem się widmem rządów soldateski. W rozkazie gen. Berbeckiego widzi akt gwałtu i bezprawia, zamach na poręczoną w Konstytucji wolność prasy. Organy, popierające politykę marsz. Piłsudskiego starają się usprawiedliwić rozkaz toruński i przyznają gen. Berbeckiemu prawo, a nawet obowiązek niedopuszczania do armji niczego, co mogłoby w jej szeregach osłabić zaufanie do najwyższej władzy wojskowej. Prasa PPS. oraz szereg innych pism przemilcza całą sprawę ze względu na trudność zajęcia stanowiska. Bo rzeczywiście trudno aprobować, gdy się zwykle twardo staje w obronie wolności prasy a niemniej trudno ganić, gdy się życzliwie odnosi do ludzi, którzy dopuścili się przewinienia.

Z naszego stanowiska rozkaz toruński jest aktem politycznym i jako taki u generała w służbie czynnej nie może być usprawiedliwiony. Kwalifikowanie wystąpień prasy z punktu widzenia bezpieczeństwa publicznego należy do władz administracji politycznej, a nie do władz wojskowych. Zabranianie wojskowym czytania tego lub innego pisma jest przy naszym ustroju również niedopuszczalne. Armja nasza jest armją demokratyczną i wojskowym przekonania i sympatje polityczne wolno mieć. Nie wolno tylko im brać udziału w życiu politycznem, nie wolno im uczuć politycznych objawiać publicznie i nie wolno im do stronnictw politycznych należeć.

Nie wierzymy jednak, by krok gen. Berbeckiego wypływał z jego przekonań politycznych. Generał ten nie należy do typu generałów - polityków. Jest to żołnierz z krwi i kości i dobry żołnierz. Rozkaz jest dla niego programem, a koszary i biura sztabowe areną. Innym trudno sobie wyobrazić „zuchowatego" Berbeckiego. („Zuchowaty" — przydomek nadany Berbeckiemu przez żołnierzy w polu).

Tem bardziej należałoby się zastanowić nad przyczynami, które skłoniły gen. Berbeckiego do tak niepolitycznego i „nieprzepisowego" kroku politycznego. Próby naiwne usprawiedliwienia go względnie ryczałtowe potępienie jako „rozpolitykowanego" pierwszobrygadowca są objawem naszej fatalnej dążności do powierzchownego traktowania niepokojących objawów i upraszczania sobie poglądów i opinji.

Gdy ktoś, doprowadzony do rozpaczy i obłędu, szykanami jakiegoś „formalnie" postępującego urzędu, w przystępie wściekłości spoliczkował lub nawet z bronią w ręku targnął się na urzędnika — powiedzielibyśmy o nim jedno z dwojga: albo że to niebezpieczny zbrodniarz i opryszek, albo że ofiara, a winnym jest znieważony czy poszkodowany urzędnik.

Właściwa przyczyna — system biurokratyczny i bałagan ustawodawczy nadal pozostałaby w ukryciu.

Podobnie ma się rzecz z rozkazem toruńskim. Berbecki znajdując dzień w dzień w prasie demagogiczne i często nieprzyzwoite ataki, aluzje i insynuacje, kierowane pod adresem swych przełożonych, nie widząc na to żadnej rady, uniósł się i zkolei sam popełnił czyn bezprawny. Powinien za to odpowiedzieć i rozkaz powinien być cofnięty.

Ale równocześnie, raz na zawsze powinna być usunięta przyczyna. Jak najrychlej powinien być wydany przez Prezydenta Rzeczypospolitej dekret z ustawą prasową. Kry-

Treść numeru

tyce w stosunku do osób, sprawujących naczelną władzę w państwie muszą być zakreślone granice wyraźne, kalumnja i oszczerstwo zagrożone surowemi karami więzienia i grzywny. Spory prasowe w sądach muszą być traktowane w trybie, zbliżonym do postępowania doraźnego.

Wówczas nikt nie będzie zmuszony uciekać się do samosądów i wymyślania własnych sankcyj karnych i dowolnych represyj.

* * *

SZKARLATYNA.

Z powodu licznych wypadków zachorowań na szkarlatynę w kilku większych miastach, ministerstwo oświaty odroczyło początek roku szkolnego do dnia 15 września, przedłużając w ten sposób ferje o całe dwa tygodnie. Zarządzenie najzupełniej uzasadnione, nie wolno bowiem igrać z niebezpieczeństwem epidemji.

* * *

Tymrazem szkarlatyna dla wielu wybuchła w najnieodpowiedniejszym momencie i wiele rachunków przekreśliła. W sferach drobnego kupiectwa poczyni spustoszenia. Tam wszyscy czekali na rozpoczęcie roku szkolnego w normalnym terminie i wszystko na ten termin przygotowali: kajety, podręczniki, przybory, pióra, ołówki, obuwie, ubrania, czapki, fartuszki... Pierwszego miały się rozpocząć żniwa i miała przypłynąć gotówka. Na 5-go, 6-go i 7-go podpisali weksle, któremi zapłacili za przygotowany towar.

Co teraz będzie? Rozpacz, zgrzytanie zębów i przeklinanie szkarlatyny.

A nauczyciele. — Jak Grabski na żniwa, tak liczyli na gotówkę w pierwszym dniu września. Ostatnią złotówkę każdy wyda na bilet z letniska do miasta, niejednemu nawet na dorożkę i tragarza już nie starczy i prosto z kolei pojedzie do szkoły... po pensję wrześniową lub zaliczkę. Nie zastanie tam oczywiście nikogo, bo dyrektorowie przezornie ulotnią się z powodu „niebezpieczeństwa szkarlatyny..."

Tak to szkarlatyna w tym roku będzie miała skutki o wiele większe, niżby się wydawało z wykazów zachorowań. Bo nawet weksle protestowane będą „z powodu szkarlatyny".

PACYFIKACJA?

W ogniu walk majowych, na którym namiętności rozpaliły się do białości, istniały dwie tylko opinje — obiedwie krańcowe: jedna streszczała się w radosnym okrzyku tryumfu, z jakim zwolennicy nietyle wydarzeń samych, ile osoby marszałka, witali zbawienie, odrodzenie, uzdrowienie; druga — w posępnem załamywaniu rąk, rozdzieraniu szat i biadaniu nad nową klęską, która spycha Polskę w odmęt walk i nędzę bezpowrotnego upadku. W czasie pamiętnych dni te dwie orjentacje ścierały, lub nawet zderzały się ze sobą, w namiętnych wyrazach zwalczając, a jednocześnie podniecając się wzajemnie — i dopiero z biegiem dni i tygodni akcenty stopniowo tracić zaczęły na ostrości, spory i kłótnie zaczęły upodabniać się do dyskusyj, swary publiczne do polemik. Fakty dokonane wymagały spokojnego ustosunkowania się do nich i objektywnej oceny.

Trzecią, najmniej liczną, odmianę stanowili ci, którzy panując nad swym temperamentem, zajęli stanowisko wyczekujące. Nie uwielbiając marszałka tak, by zgóry i naślepo gloryfikować jego czyny; nie nienawidząc go też w tej mierze, by bezapelacyjnie czyn jego piętnować; zatem nie poddając się subjektywnie impulsom uczuciowym, lecz kierowani raczej względami rozumowymi, stanęli zdała od zgiełku sporów i czekali na chwilę, w której sądzić będą mogli czyny z ich pobudek, by uniknąć stosowania fałszywej taktyko odwrotnej, polegającej na zawodnem wnioskowaniu o pobudkach na podstawie czynów.

Nie czekali zbyt długo, bo i zakończenie walk i szereg manifestacyj późniejszych upoważniał ufnych i tych, dla których interes państwa góruje nad wszystkimi innymi, do wiary, że tylko korzyści Polski, a niczyje inne, ani osobiste, ani zbiorowe, były wydarzeń majowych sprężyną i celem. Uwierzywszy w to, przeszli do szeregów marszałka nawet ci, którzy najkrytyczniej oceniali działalność jego w okresie, gdy wolny od wszelkiej odpowiedzialności ograniczał ją do przemawiania do Polski i świata z po za otwartego okna dworka sulejowskiego.

Wielkie hasła walki z partyjnictwem i krzywdą, przekupstwem i protekcjonizmem, dyletantyzmem i nieuctwem, burzycielstwem i demagogją, zjednoczyły pod swymi sztandarami przeliczne rzesze tych, którzy nigdy nie zaliczali się do gminy, odprawiającej modły w kapliczce marszałkowskiej. I chyba pacyfikacja kraju, o której tyle się mówiło i pisało w drugiej połowie maja, polegała głównie właśnie na takiem ustosunkowaniu się szerokich sfer społeczeństwa do nowej sytuacji politycznej.

Nie zmienia w tem nic okoliczność, że jak byli, tak i są jeszcze i nieprzejednani, pozostający uparcie przy swojem „caeterum censeo": nie było jeszcze sytuacji politycznej bez opozycji, więc i nasza obecna pod tym względem wyjątku stanowić nie może. Jeżeli nawet opozycja ta manifestuje się w formach namiętnych, to niema w tem nic dziwnego, gdyż takie właśnie formy stanowią naturalną i normalną cechę wszelkiej opozycji.

Dziwniejszą natomiast jest namiętność i agresywność, z jaką występują dzisiaj jeszcze jednostki z tych ugrupowań, które, oddawna szcze być wśród zespołu, stanowiącego rząd w najszerszem pojęciu, ludzie nie należący z przyrodzenia do obozu marszałkowskiego.

Nie są to dla nich nowicjusze i neofici, którym uczciwe intencje nakazały stanąć w szeregu karnych sług państwa, lecz zasadniczo zdrajcy i sprzedawczyki, którym ufać nie wolno dla tego samego, że wiernie służyli a nawet zawsze stanowiąc sferę już nie zwolenników, ale raczej wyznawców marszałka, mają wszelki powód uważać się dzisiaj za zwycięskie, więc nie potrzebujące już posługiwać się maczugami. A jednak w dalszym ciągu się niemi posługują. Przyczyna leży w tem, iż zwycięstwa swego nie uważają za kompletne i zadawalające, dopóki śmią jeszcze... państwu i w okresach przedprzewrotowych. Z tego punktu widzenia organ, który dla siebie monopolizuje wyłączność prawomyślności, z bojową namiętnością usiłuje urabiać opinję publiczną w kierunku uświadamiania jej o zgubności i szkodliwości wszystkiego, co nie wywodzi rodu swego z I brygady. I z dużą miarą butnej szczerości głosi, że niema i nie powinno być w Polsce miejsca na żadnym nietylko fotelu, ale i krześle, krzesełku, karle i stołku rządowym dla ludzi, którzy się swą przynależnością do b. legionów wylegitymować nie potrafią.

Z tego założenia wychodząc rzekomi wyraziciele jedynie prawdziwego kursu rządu obecnego bez skrupułów podważają w opinji publicznej jednolitość i powagę jego poczynań i zamierzeń. Z lekkiem sercem podkopują zaledwie zbudzone zaufanie społeczeństwa, dając smutny obraz tego, że nie zmieniło się u nas po maju nic, prócz koterji. Na ten widok ci nawróceni i ufni, którzy w wierze w głoszone hasła wyrzekli się walki i jęli pracy twórczej, z trwogą w sercu zapytują, czy nie zawiodą się w swej ufności, skoro w dalszym ciągu wieje w Polsce ten sam wiatr burzący — jeno od innej strony? Pobrzękująca u boku nowego sekretarza w Prezydjum Rady Ministrów szabelka jest wymownym tego dowodem.

Tej smutnej prawdzie śmiało zajrzeć trzeba w oczy i nazwanie jej po imieniu jest obowiązkiem wszystkich, którym dobro państwa szczerze i przedewszystkiem leży na sercu, by robota burzycielska nie śmiała podawać się za twórczą. Bo bolesność i niebezpieczeństwo ran, od których krwawi państwo, bynajmniej nie zależą od stroju, w jaki przyodzianą jest zadająca ciosy ręka: są one zawsze równie bolesne i niebezpieczne.

Ale ci panowie z kapliczki tego widzą, lub widzieć nie chcą: w ich mniemaniu dobra służba państwowa polega na bezkrytycznej gloryfikacji jednych osób i zjawisk i na bezwzględnej negacji innych. Tak więc świeżo jeden z nich pisał rozumnie:

„Rzecz zastanawiająca: w środowiskach wrogich obecnemu rządowi... podtrzymuje się wszelkiemi sposobami propagandę niezadowolenia z całym jej zapasem złośliwości, goryczy i gniewu.

Uczciwy patrjota, ten, który przegrał politycznie, rozumuje tak: rządzą moi przeciwnicy, ale w położeniu państwa widzę poprawę, więc cieszy mnie to, chociaż oni teraz rządzą...

Natomiast partyjnik więcej odczuwa goryczy na myśl, że rządzą jego przeciwnicy, niż zadowolenia, że w państwie dzieje się lepiej".

Czy stojący na tem stanowisku obserwacyjnem prawdziwie bezstronny publicysta nie powinienby odwrócić się i skierować tę samą naukę i w drugą stronę, w którą jest mu nieco niewygodnie posyłać admonicje? Powinienby, ale nie czyni tego, bo blask, płynący stamtąd, oślepia krytyczne jego spojrzenie. A szkoda.

M. B.

PAN... IZMY

Viribus unitis.

Myśl związków narodów dla obrony wspólnych interesów nie jest rzeczą nową. Rzec można, że pierwowzorem tego rodzaju związku jest unja północno - amerykańska, która stała się dla Wilsona bodźcem do koncepcji Ligi Narodów.

Po wielkiej wojnie Coudenhove wystąpił z pomysłem paneuropeizmu, a ostatnio słyszeliśmy już o panazjatyzmie; może wkrótce usłyszymy o panafrykanizmie.

Ze wszystkich tego rodzaju pan...izmów jeden od dość dawna istnieje i wcale skutecznie działa, mianowicie: Związek panamerykański, który zaczął się od A. B. C., t. j. od związku trzech południowych republik: Argentyny, Brazylji i Chile. Dzięki jego istnieniu państwa południowej Ameryki oddawna już wojen między sobą nie prowadzą a zatargi drogą arbitrażu bywają tam wyrównywane. Obecnie będzie musiał być załatwiony zatarg między Peru i Chile o południowe prowincje peruwiańskie, okupowane przez Chile, jako odszkodowanie za wojnę w r. 1879.

W przedwojennej Europie słyszało się tylko o panslawizmie, od którego Polacy stronili, gdyż de facto był on jednym z objawów imperjalizmu rosyjskiego.

* * *

Zmiana karty Europy po 1919 r. oraz analiza rozpraw nad protokułem genewskim i Lokarna nakazują wprost rozważanie kwestji „panslawizmu" w postaci już zupełnie nowej, a innej aniżeli przed 1914 r.

W polsko - czeskim numerze „Warszawianki" (214 z 8 b. m.) pisze prof. dr. Jarosław Bidlo:

„Kto się należycie rozejrzy w konfiguracji dzisiejszej Europy i uświadomi sobie grę na jej szachownicy, ten musi dojść do świadomości, że istnienie Czechosłowacji i Polski jest nawzajem uwarunkowane i że jedno państwo bez drugiego nie może się rozwijać, nietylko w stosunku do Niemiec, lecz także w stosunku do Ukrainy i Rosji, a wreszcie ze względu na możliwą restytucję wielkich i agresywnych Węgier.

Czy chcemy, czy też nie, czy się lubimy, czy nie, układ sił politycznych nakazuje nam działać solidarnie, albo przynajmniej szukać drogi do tego".

Historia docet. Jeżeli się uważnie rozejrzymy przez szereg wieków w dziejach słowiańszczyzny, przekonamy się bez trudu, że wszystkie narody i szczepy w jej skład wchodzące miały nieustannie do czynienia z jednym, wspólnym, zażartym i wytrwałym wrogiem, któremu na imię „germanizm".

Pangermanizm, którego ideałem jest obecnie przyłączenie republiki austrjackiej, także nie jest pomysłem nowym, czego dowodem słowa:

Kein Oesterreich und Preussen mehr
Ein einziges Deutschland fest und hoch,
Wie seine Berge...

wypowiedziane przez arcyksięcia austrjackiego Jana w r. 1848 na sejmie w Kolonji.

Imperjalizm pangermański swego głównego wroga i główną zaporę w swych kontynentalnych zapędach widział i widzi głównie, a może jedynie, w słowiańszczyźnie, szczególnie dzisiaj dla przyszłości. — Pod tym względem znamienne są następujące uwagi, wzięte z pisma „Die Panther" (z czasów wielkiej wojny, 1915 r.):

„Gdyby dawne marzenia miały ożyć raz jeszcze, gdyby owo pełne treści określenie „pangermanizm" uzyskać miało pełne znaczenie, to jednak słowianie mogliby wkońcu przedstawiać potęgę większą od germanów, razem wziętych, i wtedy losy Europy byłyby rozstrzygnięte. W każdym razie należałoby wypowiedzieć walkę losowi, gdybyśmy już teraz nie wytężyli wszystkich sił, ażeby tej ewentualności przeszkodzić i gdybyśmy już teraz nie usiłowali zabezpieczyć się trwale przeciw temu najwyższemu niebezpieczeństwu. A można to uczynić jedynie przez osiągnięcie dostatecznych szmatów ziemi na wschodzie do rozprzestrzenienia narodu niemieckiego".

„Panther" colossal i grossartig rozwija myśl, wypowiedzianą przez Bismarka w roku 1863: „Należy zająć Królestwo, a w przeciągu trzech lat wszystko będzie zniemczone".

Wypowiedział germanizm walkę losowi, a owocem jej miało być zagarnięcie całej słowiańszczyzny, nietylko z Serbją i Czarnogórzem, ale i wraz z rdzennie słowiańskiemi ziemiami zachodniemi imperjum rosyjskiego — na wschodzie od Polski — które kiedyś do nas należały.

Lekceważąc narody romańskie i licząc na neutralność Anglji, w sierpniu 1914 r., Niemcy w swych imperjalistycznych zamierzeniach widzieć musieli panowanie świata podzielone narazie na dwa imperja: germańskie i anglo-saskie.

Los zawiódł, ale apetyt na słowiańszczyznę pozostał. Więc: słowiańskie narody powinny się tak zorganizować i zabezpieczyć, aby germanizm nie był w możności drugi raz wypowiedzieć walki losowi.

* * *

„Jest rzeczą bardzo niebezpieczną opierać zagraniczną politykę narodu na warunkach interesu materjalnego... Nie myślcie, że zagadnienia dzisiejsze są tylko zagadnieniami polityki i dyplomacji. Są one przeniknięte nawskroś pierwiastkami życia. Nie wolno nam odstępować od zasady, że moralność, a nie wzgląd na korzyści materjalne jest tem, co nas powinno prowadzić"... pisał w „Mobile" (1913 r.) wielki marzyciel Woodrow Wilson, a w czasie kongresu, wprowadziwszy do traktatu wersalskiego „sine qua non", Ligę Narodów, łudził się, że w jej łonie obowiązywać będzie tylko moralność. Tymczasem, jak się z dotychczasowej działalności Ligi Narodów przekonać można, obowiązuje i tam tylko interes materjalny.

Ustrój psychiczny świata, a w szczególności Europy, jest obecnie taki, iż o jakiejkolwiek „Paneuropie" mowy być nie może. A gdyby nie wiara w to, że ludzkość musi się z czasem odrodzić na zasadach etyki chrześcijańskiej, pomysły tego rodzaju należałoby zaliczyć do fantastycznych utopij. Co dopiero Liga Narodów?

Liga Narodów wtedy tylko odegra swą rolę, gdy w skład jej wchodzić będą „ententy" na prawach „równego z równym". Dopóki tak nie będzie, dopóty mniejsze i słabsze narody odgrywać będą tam rolę „braci szlachty" na pokojach karmazynów, kiedy to teorją tylko było: „szlachcic na zagrodzie — równy wojewodzie", a rzeczywistość życia co innego wykazywała.

Sądzę, że gdyby powstała szeroko pojęta słowiańska „Entente Cordiale" z jednej strony, z drugiej takiż narodów łacińskich związek, natenczas rola bezpłodnej, wykolejonej i ulegającej masońskim wpływom międzynarodowym dzisiejsza Liga Narodów sama zgasłaby, Europa zaś byłaby ubezpieczoną przed imperjalizmem wojennym Niemiec oraz wyzyskiem finansowym Bank of England.

Położenie geograficzne, stosunki gospodarczo - wytwórcze i bogactwa naturalne krajów słowiańskich nakazują wierzyć w to, że przez mądrą i rozumną politykę mogą się one nawzajem uzupełnić i stać się pierwszorzędną potęgą ekonomiczną.

Bynajmniej nie mam na myśli powstania „federacji politycznej". Uważam, że koncepcja taka jest możliwą tylko w wyjątkowych warunkach, jakie mają np. Szwajcarja lub unja północno - amerykańska. Wierzę jednak, że Rosja odrodzona może powstanie także jako stany zjednoczone, ale federacja narodów słowiańskich jest w mojem pojęciu absurdem.

Każdy z narodów należących do ententy musi „coûte que coûte" dążyć do tego, aby „narodowo" indywidualnie wzmacniać się nie dla celów zaborczych, ale dlatego, że narody słabe, jako pożądany łup dla wszelkiego imperjalizmu, stają się nieustanną przyczyną zamieszek i stałą pobudką do naruszania bezpieczeństwa i pokoju powszechnego, a tylko narody silne mają wybitny wpływ na harmonję i bogactwo ludzkości.

Inż. K. Folkierski

U progu nowego roku szkolnego

Początek roku szkolnego otwiera nowy etap ciężkiej pracy nad wychowaniem młodego pokolenia, w którego rękach za lat kilka czy kilkanaście znajdą się losy Państwa Polskiego. Jest rzeczą zbyteczną podkreślać tu doniosłość tej pracy. Że zaś dotychczasowe jej rezultaty nie są zadowalające, zmuszają opinję publiczną do sumiennego zbadania szeregu zagadnień, związanych z wychowaniem i szkołą.

Przecież od paru lat, właściwie od czasu wojny, coraz bardziej mnożą się wypadki, wywołujące jak najżywsze zaniepokojenie. Niezdrowe stosunki wśród młodzieży doprowadzają niejednokrotnie do tragicznych wypadków i oto raz po raz czytamy o samobójstwach uczniów lub uczenic, zrozpaczonych najczęściej niesprawiedliwą — zdaniem ich — oceną ich pracy.

Społeczeństwo rozumie, że tak dalej być nie może i że, aby chorobę wyleczyć, musi się znaleźć jej przyczyny.

Przyczyny te widzi się przeważnie w obecnych metodach nauczania, przedewszystkiem w nadmiernych jakoby wymaganiach, słowem — całą winę zwala się tu na szkołę. Szkoła uchodzi ciągle za rodzaj mordowni, katującej naszą młodzież. Rodzice, którzy znają szkołę właściwie tylko z conajmniej tendencyjnych opowiadań swych dzieci, kiwają z ubolewaniem głowami nad „torturami", jakie przechodzą ich pociechy. Te zaś, słuchając nieustannych biadań i wyrzekań „starszych" np. na bezcelowość nauki łaciny, nie mogą odnosić się z szacunkiem ani do tego przedmiotu, ani do szkoły, która w ten sposób traci wszelki autorytet.

Ten ujemny stosunek rodziców (t. j. społeczeństwa) do szkoły musi się zmienić. Wzajemne zaufanie tych dwu czynników wychowawczych jest zasadniczym warunkiem uzdrowienia w tej dziedzinie stosunków. I pomijając już jednostronność tego rodzaju zwalania całej odpowiedzialności za panujące zło na szkołę — bo wszakże dom też wychowuje — należy się zastanowić, czy istotnie źródło zła leży w zbytniej surowości nauczycielstwa i w nadmiernych wymaganiach.

Wydaje mi się, że nie. Przecież przed wojną wymagania te, zwłaszcza w zaborze pruskim i austrjackim, były o wiele większe, a pomimo to o wypadkach samobójstw wśród młodzieży nikomu się nawet nie śniło. Dzisiaj pod wpływem nacisku części opinji publicznej wymagania szkolne zredukowano do minimum, a nawet — sądzimy — minimalną tę granicę niejednokrotnie przekroczono. Dalsze trwanie na tej drodze zagraża wprost naszej kulturze narodowej. Rozmawiałem niedawno z uczniem ósmej klasy jednego z gimnazjów państwowych w Warszawie, który opowiadał mi, czego się nauczył naprzykład z historji literatury polskiej. Był to, mówiąc nawiasowo, jeden z najlepszych uczniów w klasie. Otóż jego nauczyciel - polonista uważał za stosowne pominąć cały materjał aż do XVI w., t. j. do Reja. W ten sposób maturzysta ów nigdy nie słyszał ani o Gallusie, ani o Kadłubku, ani o Ostrogu, ani o Długoszu, ani o Klemensie Janickim. Oto do czego prowadzi system redukowania wymagań szkolnych.

Jeżeli więc przyczyna złego, sądząc po rezultatach nauki szkolnej, nie leży w nadmiernych wymaganiach, to gdzie mamy się jej doszukiwać? Zdaniem naszem, jedynie i wyłącznie w pewnego rodzaju psychozie powojennej, nacechowanej przedewszystkiem kolosalną wprost nerwowością. Bo spójrzmy tylko na naszych znajomych. Czy to są ci sami ludzie, co przed wojną? Gdzież tam! Z osób naogół spokojnych, co najwyżej wrażliwych, zrobili się neurastenicy i histeryczki. O bądź co obrażają się i zatruwają życie sobie i innym. A cóż dopiero, gdy spotka ich jakieś cięższe niepowodzenie życiowe: następuje samobójstwo lub nawet morderstwo.

I gdybyśmy mogli mieć chociaż tę pociechę, że po roztrzęsionem wojną pokoleniu dzisiejszych „dorosłych" przyjdzie generacja zdrowa, o silnych nerwach, życiowo odporna... Niestety: wystarczy spojrzeć na naszą młodzież, by się przekonać, że to złudzenie. Ta młodzież w okresie wojny była dziećmi; i podczas gdy ich ojcowie męczyli się w okopach, one cierpiały również: rozmaite ewakuacje, niedostatek i ciężkie warunki materjalne, które trwają do dzisiaj — wszystko to nie naprawia nerwów. Dodajmy do tego nihilizm etyczny, grasujący po wojnie w całej Europie a mający główne swe ognisko w Rosji. Rezultaty tego wszystkiego, to samobójstwa w murach szkolnych.

Na to patrzeć z założonemi rękoma nie można. Jeżeli odrodzoną Polskę mają budować pokolenia neurasteników, niezdolnych do walki z przeciwnościami, chwytających za rewolwer po lada niepowodzeniu, — jak ta Polska będzie wyglądała?! Skoro na siebie postanowiliśmy już machnąć ręką, to nie wolno nam nie ratować naszych dzieci. Popierajmy harcerstwo, hartujące ciało i ducha, stosujmy sporty (byle w racjonalnych normach jakościowych i ilościowych, aby w zdrowem ciele był zdrowy duch, a nie... zdrowe cielę); wymyślajmy nowe środki, jeżeli dotychczasowe są niedostateczne, ale działajmy. Dążmy do polepszenia warunków higienicznych w szkole, które niejednokrotnie sprowadzają na ucznia większe znużenie, niż największa „porcja" zadanej lekcji. Naszym celem musi być wychowanie typu krzepkiego młodzieńca i dzielnej dziewczyny, twardych Polaków, którzy potrafią wziąć się za bary z życiem i dać sobie z niem radę. Dla młodzieży nerwowej każdy zakres pracy będzie za wielki, każde wymaganie zbyt wygórowane. Ograniczenie tych wymagań będzie więc bezcelowym oportunizmem, obierającym linję najmniejszego oporu.

Ażeby uzdrowić stosunki szkolne, trzeba uzdrowić przedewszystkiem — nerwy młodzieży.

Dr. Ignacy Wieniewski.

MONOPOL TYTONIOWY

Czego nie wie opinja publiczna o pożyczce włoskiej? Przez dwadzieścia lat musimy kupować szkodliwy tytoń włoski. Niepublikowane punkty umowy włoskiej uniemożliwiają uzyskanie pożyczki i wydzierżawienie monopolu, obniżając wartość tego objektu.

W numerze 33 „Prawdy" w artykule pod tym samym nagłówkiem zamieściliśmy szereg szczegółów, dotyczących początków monopolu tytoniowego aż do uchwalenia ustawy o monopolu. Ustawa forsowana była tylko dlatego, aby po uchwaleniu jej rząd mógł swoje prawa natychmiast oddać w dzierżawę w zamian za pożyczkę. Gdy jednak sejm na wiadomość o kompromitujących zabiegach różnych pośredników pożyczkowych zagranicą, włączył do ustawy postanowienie, że monopol tytoniowy wydzierżawiony być może tylko za zgodą sejmu, rząd znalazł się w posiadaniu monopolu, z którym nie wiedział, co począć, nie mając funduszów na wykup fabryk i prowadzenie przedsiębiorstwa. W zamieszczonym poniżej artykule znajdzie czytelnik szczegóły, dotyczące metod, jakie obrano, aby uporać się z temi trudnościami.

Należy jeszcze zaznaczyć, że premjer Bartel zainteresował się ostatnio sprawą monopolu tytoniowego i zażądał przedstawienia sobie dokładnych sprawozdań dotychczasowej gospodarki. Wspominaliśmy już w swoim czasie, że ustawa monopolowa nakazuje rządowi, aby co roku przedstawiał sejmowi dokładny bilans monopolu z uwzględnieniem oprocentowania i amortyzacji kapitału, jaki monopol otrzymał od skarbu państwa oraz podatków, jakie powinienby płacić gdyby był przedsiębiorstwem prywatnem. Dotychczas sejm nie zatroszczył się o to, by przedstawiono taki bilans, chociaż mogłoby się okazać, że na monopolu traci państwo dziesiątki miljonów, które gdzieindziej w szkodliwy sposób musi oszczędzać.

Takie zagadnienia pp. posłów nie interesują — ważniejszem jest dla nich, co mówili ze sobą poseł Ćwieczek z posłem Ścianką i jaka z tego nowa kombinacja polityczna wyniknie.

Sądzimy, że premjer Bartel szczegółowo wyświetli sprawę monopolu tytoniowego i o dalszej formie jego egzystencji zgodnie z interesami skarbu państwa zadecyduje.

* * *

Przez półtora roku radzono sobie, jak zresztą i poprzednio, stałem zadłużeniem w Skarbie Państwa. Kiedy z końcem 1923 roku przeprowadzono waloryzację kredytów i to źródło fikcyjnych dochodów monopolu tytoniowego wyschło, sytuacja stała się faktycznie katastrofalną i ówczesny dyrektor departamentu ś. p. Głowacki *zwrócił się do właścicieli prywatnych fabryk tytoniowych z propozycją ewentualnego objęcia administracji poręczającej fabryk rządowych.*

Tutaj widzę duży błąd ze strony przedstawicieli przemysłu tytoniowego, że nie potrafili dojść do porozumienia pomiędzy sobą i nie wykorzystali tak dodatnio układających się konjunktur.

Wtedy to *grupa aferzystów* zaproponowała pożyczkę włoską na warunkach lichwiarskich, którą dyr. monopolu tytoniowego i ministerstwo skarbu akceptowały, wykazując swoją niekompetencję w tych sprawach *przez udzielenie przywileju 60 proc. dostaw ogólnego zapotrzebowania surowca* (w tem ⅓ tytoniu z plantacyj włoskich, t. j. produktu niesmacznego i niezdrowego) przyznając jeszcze *dodatkową prowizję* za tak niefortunne dostawy.

Popełniony błąd spostrzeżono po niewczasie i tem tylko sobie tłumaczę fakt, że, niechcąc zapewne drażnić opinji publicznej, komunikat urzędowy *przemilcza szereg artykułów,* dotyczących ograniczeń rządu polskiego w dziedzinie dalszych pożyczek pod ten objekt zastawowy, jak również uprzywilejowania dostaw, które to szczegóły zawiera oryginalny kontrakt, ogłoszony „in extenso" w „Gazetta Ufficiale del Regno" z dnia 24-go marca 1924 roku.

Ten właśnie warunek, *obowiązujący przez lat dwadzieścia, niezależnie od ew. przedterminowej spłaty pożyczki,* utrudnia niepomiernie pozyskanie kontrahentów dla dzierżawy czy też administracji poręczającej monopolu tytoniowego.

W roku bieżącym pertraktowano w sprawie dzierżawy *z cieszącym się niezbyt pochlebną opinją* trustem tytoniowym „American Tabacco C-y", popieranym przez amerykański „Bankers Trust", udzielono mu nawet trzymiesięcznej opcji, nieżądając wzamian żadnych wzajemnych zapewnień. — Umowa nie doszła do skutku głównie *skutkiem zbyt wygórowanego odszkodowania żądanego w Rzymie* przez pośredników w zawarciu pożyczki włoskiej za zrzeczenie się uprzywilejowanych dostaw.

Zdaje się *o ten sam szkopuł rozbiją się pertraktacje z konsorcjami francuskiem i holenderskiem.* Z pożyczki tej o nominalnej wartości 400 milj. lirów skarb polski uzyskał faktycznie 12 milj. dolarów, z których połowę otrzymał monopol tytoniowy na wykup fabryk prywatnych, połowa zaś poszła na pokrycie znikomej części deficytu 1924 r. — I dla tak nieznacznej kwoty, pożyczonej na nader uciążliwych warunkach, przyjęto ten ciężar na okres 20-letni. Jest to typowa tranzakcja przemysłowca w przededniu ogłoszenia mu upadłości.

W związku zapewne z toczącemi się układami spotykamy w tej sprawie w jednem z poważnych czasopism ekonomicznych artykuł p. t. „Regie Monopolu Tytoniowego", zdradzający przedewszystkiem niekompetencję autora w tej kwestji. Znajdujemy tam niekonsekwencje tego rodzaju, jak np. (na wstępie), że „ponętność objektu tytoniowego stanowi możność ciągnięcia znacznych dodatkowych zysków z dostaw tytoniu", następnie zaś zastrzeżenie, „by dzierżawa monopolu fabrykacji i sprzedaży nie nadawała temu towarzystwu w jakiejkolwiek formie również i monopolu zakupów". — Wreszcie autor przytacza warunki i rezultaty dzierżawy włoskiego monopolu tytoniowego w latach 1868/1883, stawiając je niejako za wzór dla umowy, mającej być przez nas zawartą.

Z danych tych wynika, że dzierżawa w pierwszym roku przyniosła dochód o 45 proc. wyższy od administracji rządowej, następnie w ciągu 15-tolecia czysty zysk wzrósł o dalsze 60 procent. — Cennik w 1879 roku został podwyższony o 10 procent.

Celem porównania przytaczam, że „Polska Administracja Tabaczna" w pierwszym roku swej działalności (1816/1817) przyniosła skarbowi dochód pięciokrotnie wyższy aniżeli zarząd własny, następnie w ciągu 45 lat eksploatacji zwiększyła go przeszło czterokrotnie. — Żadna podwyżka cennika nie była stosowana.

Stosunkowo nieznaczna zwyżka dochodów podczas okresu wydzierżawienia monopolu włoskiego była wywołana wysokością tenuty dzierżawnej, obliczonej globalnie i stanowiącej pewne „minimum" (zysk z ostatniego roku eksploatacji w własnym zarządzie) oraz dodatkowo w pierwszych latach 40 procent, następnie 50 procent uzyskanej z eksploatacji nadwyżki. — Konsorcjum dzierżawcze udzieliło skarbowi włoskiemu 180 milj. lirów złotych pożyczki. — Wogóle warunki umowy były dla rządu włoskiego niekorzystne, właśnie skutkiem konieczności uzyskania pożyczki.

Drugi podobny wypadek, graniczący już z wyzyskiem, widzimy w umowie rządu tureckiego z „Régie des Tabacs de l'Empire Ottoman", kiedy zaciągniętą znaczną pożyczkę gwarantowano dochodami z tytoniu i ceł. Główny dochód pochodził z cła wywozowego na surowiec turecki, bowiem fabryki wyrobów tytoniowych były urządzone prymitywnie i produkcja ich była stosunkowo nieznaczna. Spożycie ograniczało się do kilku większych miast, bowiem każdy prawowierny ottoman, znając krzywdę wyrządzoną Turcji przez „Comité de la dette publique", „Banque Ottomane" i „Régie co interessée", uważał za swój patrjotyczny obowiązek bojkotować te instytucje. Podczas mojej bytności przed dwoma laty w Anatolji nawet w miastach takich jak Smyrna i Adana, spotykałem się prawie wyłącznie z tytoniem t. zw. „kaczak", t. j. pochodzącym z kontrabandy wewnętrznej (z miejscowych plantacyj).

Obydwa te państwa z uczuciem prawdziwej ulgi pozbyły się tego jarzma dzierżawnego, dlatego więc tej formy umowy nie możemy stawiać sobie za wzór do naśladowania.

Przy zawieraniu umowy dzierżawnej czy to na monopol tytoniowy, czy też spirytusowy, rządowi polskiemu powinny służyć jako wytyczne:

1. Dzierżawa monopolów nie powinna być traktowaną łącznie z zabiegami o uzyskanie pożyczki.

2. Dochód fiskalny w wysokości 60 procent od ceny sprzedażnej wyrobów nie może ulegać żadnemu podziałowi z dzierżawcą i powinien być wpłacany do kas skarbowych w ciągu 10 dni od chwili zamknięcia rachunków za ubiegły miesiąc, na co przeznacza się dni 15.

3. Pozostały ponadto zysk dzieli się pomiędzy skarb i dzierżawcę w ten sposób, że:

od pierwszych 5 miljonów pobierane jest 50 procent na rzecz skarbu,

od następnych 5—10 miljonów pobierane jest 45 procent na rzecz skarbu,

od następnych 10—15 miljonów pobierane jest 40 procent na rzecz skarbu i t. d.

Ten dochód skarbu jest zupełnie uzasadniony, gdyż stanowić będzie wynagrodzenie tytułem oprocentowania i amortyzacji kapitału umieszczonego w nieruchomościach i maszynach oraz jako ekwiwalent za odstąpione prawo wyłączności produkcji.

4. Musi być określone wagowe minimum produkcji (przeciętna z dwóch ostatnich lat), gdyż inaczej kontrahent będzie zaniedbywał produkcję gatunków tanich, a zadowalał się mniejszą wytwórczością, mając większy zysk na wyrobach wyżej taryfowanych.

Dopiero po zawarciu takich kontraktów dzierżawnych ustalone w ten sposób dochody skarbowe mogą służyć jako gwarancja oprocentowania i amortyzacji pożyczek.

Zawarcia umowy dzierżawnej na korzystnych dla skarbu warunkach nie uważam za rzecz łatwą. Poważne konsorcja zagraniczne, które złożyły oferty, postępowały z dużą rezerwą. — Niefortunna pożyczka włoska pogorszyła znacznie warunki dzierżawy, *nasze prawodawstwo społeczne i zakusy ekspropryjacyjne sejmu,* które my uważamy raczej za gest demagogiczny w celu pozyskania wyborców, zagranica traktuje na serjo i działalność naszej izby ustawodawczej określa jako *„un système légerement bolcheviste".*

Wszystko to, jak również nasze nieskonsolidowane stosunki wewnętrzne, nie jest czynnikiem zachęcającym do angażowania się kapitałów zagranicznych. — *Dlatego uważam za najbardziej powołany do odegrania roli dzierżawcy monopolów nasz wielki przemysł,* który pozyskując dla udziału w pracy poważniejszych przemysłowców tytoniowych oraz pewną pomoc finansową banków zagranicznych, mógłby i skarbowi zaofiarować najkorzystniejsze warunki i sam mieć zysk bardzo poważny, jak to nam wykazują dzieje „Administracji Tabacznej", która stanowiła podwalinę fortuny Leopolda Kronenberga (ojca).

Przy pozyskaniu, jako finansującej, tej grupy banków amerykańskich, która na mocy gwarancji zawartej przez nas pożyczki włoskiej z 1924 r. udzieliła „Banca Commerciale Italiana" poważnej pożyczki, możnaby wywrzeć pewien nacisk na ten pośredniczący bank dla ograniczenia jego wygórowanych żądań za zrzeczenie się przywileju dostaw.

Uważam, że dla umowy dzierżawnej nie należy szukać wzorów zagranicą, lecz *zużytkować pięćdziesięcioletnie doświadczenie* (1816/1866) *nabyte przy „Administracji Tabacznej",* która dawała rezultaty najzupełniej zadowalające.

W. E. Zieliński.

Listy z Londynu

Z ruchu skautowskiego. Kłopoty w Indjach. Gertruda i Zuzanna.

Londyn, w sierpniu.

Angielski ruch harcerski, który, jak wiadomo, zapoczątkował Baden Powell podczas wojny boerskiej, rozciągnął się niemal na wszystkie sfery społeczeństwa angielskiego, tak, iż dzisiaj, można rzec śmiało, iż niema prawie takiej szkoły, do którejby nie przeniknął. Znają go i kultywują arystokratyczne kolegja w Eton i Harrow obok popularnych uczelni z ubogich wschodnich dzielnic Londynu czy Manchesteru. Od skromnych zaczątków z roku 1900-nego ruch ten rozrósł się do olbrzymich proporcji, obejmując nietylko obie wyspy John Bull'a, ale przenikając do kolonji obu Ameryk i na nasz kłótliwy kontynent.

W samej Anglji obejmuje on prawdopodobnie przeszło miljon chłopców i dziewcząt i staje się pierwszorzędną podstawą do duchowego odrodzenia Anglji w sensie usuwania kastowości, snobizmu i walki klas poszczególnych warstw społeczeństwa angielskiego.

Te szczytne i przewidujące zadania i cechy angielskiego harcerstwa zrozumiały doskonale tutejsze sfery rządzące i protegują jego rozwój w bardzo wydatny sposób. Jednej sekcji takich harcerzy przewodniczy, to znaczy opiekuje się nią od lat sześciu, książę Yorku, młodszy brat następcy tronu, łożąc na nią z własnej kieszeni znaczniejsze sumy.

W tych dniach rozjechał się właśnie obóz tej grupy z miejscowości Romney po wspólnych wywczasach, spędzonych na różnych pożytecznych ćwiczeniach, zawodach i sportach w towarzystwie księcia, który pospołu z tymi malcami zażywał — jak równy z równymi — przyjemności i niespodzianek obozowego życia.

Zasadniczą cechą tego całego przedsięwzięcia było to, że dzieci bogatych rodziców obok pociech uboższych sfer były obowiązane przez cały czas obozowania ze sobą obcować na prawach absolutnej równości. Zwie się to w Anglji „playing the game", co oznacza lojalne i solidarne postępowanie względem wszystkich bez różnicy stanu majątkowego, hierarchji, wychowania i tradycji, które, zwłaszcza w Anglji, są tak głęboko zakorzenione i pieczołowicie pielęgnowane.

Bogatemu chłopcu angielskiemu w takich warunkach nie wolno pod grozą ośmieszenia i ostracyzmu ignorować swego uboższego kolegi, lecz wszyscy muszą od najmłodszych lat uczyć się „team work" czyli wysiłku i pracy wspólnej celem osiągnięcia wspólnego dla wszystkich rezultatu.

Są publicyści w Anglji, jak Sir Philip Gibbs, którzy widzą, zresztą zupełnie słusznie, w instytucji tej zapowiedź usunięcia przyszłych socjalnych konfliktów Anglji opartych w znacznym stopniu na wzajemnej ignorancji, zazdrości i podejrzliwości klas. Dobrzeby jednak było, gdyby takie obozowania stały się instytucją międzynarodową, coby posłużyło do lepszego poznania się w przyszłości narodów, celem usuwania większych konfliktów.

* * *

Docierające do Europy tylko sporadycznie wieści z dalekich Indji każą przypuszczać, że nie wszystko jest dobrze w tej najpiękniejszej perle brytyjskiej korony. Fakt, naprzykład, że sułtan Hajderabadu pragnie się całkowicie uwolnić z pod kontroli centralnego rządu brytyjskiego w Delhi, brany sam przez się, nie stanowiłby groźby dla całości tej wielkiej brytyjskiej kolonji, w świetle jednak innych pokrewnych mu objawów jak i rozwoju Wschodnich Indji od czasu ich podbicia przez Clive'a do chwili obecnej, nabiera specjalnego znaczenia i musi napawać Anglję dużą troską o jej przyszłość kolonjalną.

Jak wiadomo, Wschodnie Indje, olbrzymi kontynent o 300 miljonowej ludności kilkunastu ras i kilkudziesięciu języków i djalektów, podzielone są na stosunkowo niedużą liczbę państw (principa lities) rządzonych przez radżów, czyli książąt lub sułtanów oraz na prowincje, znajdujące się pod bezpośrednim nadzorem Anglików. Stosunki między nimi do czasów prokonsulatu Lorda Curzon'a były dosyć luźne i opierały się na szeregu umów z rządem centralnym. Umowy te, jako zawierane w różnorodnych warunkach różniły się bardzo znacznie między sobą, tak co do ogólnych warunków jak i poszczególnych obowiązków i przywilejów. Lord Curzon, z którego rządów w Indjach w roli wicekróla Anglicy są specjalnie dumni, usiłował umowy te ujednostajnić tak, ażeby system zależności rzeczonych państw od centralnego rządu dla nich wszystkich w jednakowe formy ująć. Oczywiście, polityka ta miała na celu większe uzależnienie ich przy minimalnych wysiłkach od Anglji, t. j. od ministerstwa dla Indji i do czasu wojny dosyć gładko i bez dużych tarć się udawała. Miały miejsce wprawdzie różne mniejsze lub większe rebelje, lecz te małemi stosunkowo siłami przy wyższości angielskiej wojskowej dyscypliny i technicznej organizacji zazwyczaj szybko były tłumione.

Jednakże wielka wojna, po niej powiew nowych idei samostanowienia narodów, podziałały na Indje elektryzująco i odtąd się datuje wielki ferment socjalno-polityczny w Indjach, który przybiera coraz szersze rozmiary.

Apostołem tego ruchu jest słynny Mahatma Gandi, kombinacja polityka, ascety i fanatyka, którego nauki i rady przenikają co raz głębiej do świadomości ludu Hindostanu, wytwarzając dla Anglików atmosferę zgoła nieprzyjazną. Gandi był wielokrotnie więziony przez władze angielskie, lecz to nie zdołało jego ducha i misji przełamać.

Zaraz po zakończeniu wojny wydelegował Lloyd George do Indji celem zbadania całej sytuacji dwóch wytrawnych polityków: Lorda Chelmsford i p. Montagu, rezultatem czego był projekt, ujęty potem w formę bill'u (ustawy) zwanego „Montagu-Chelmsford Report", który miał za zadanie położenie podwalin pod system samorządu, opartego na współudziale elementów lokalnych.

Tego rodzaju „condominium" dotąd istnieje, choć sądząc z różnych informacji, nie z zupełnem sukcesem, a to głównie dlatego, że chcąc utrzymać swą dominującą pozycję, posługuje się Anglja starorzymską metodą „divide et impera", co jej się w indyjskim Babelu dotąd udaje.

Polega to na jątrzeniu Mahometan przeciw Hindusom na tle ich upodobań i predylekcji kastowo-religijnych. Lecz w miarę jak kultura i oświecenie przenika, tego rodzaju gra staje się coraz trudniejszą i ryzykowniejszą.

A oświata przedostaje się przedewszystkiem do najbogatszych, t. j. rządzących sfer indyjskich, za pośrednictwem synów radżów i kupców indyjskich, którzy wykształcenie swe otrzymują bądź to w Anglji, bądź w innych krajach Europy. Oni to potem stanowią główny element oporu przeciw rządom angielskim i prą ku uwolnieniu Indji z pod ich jarzma. W każdym razie proces rozkładu już się rozpoczął.

* * *

W tych dniach cała Zachodnia Europa rozbrzmiewała imionami Gertrudy Ederle i Zuzanny Lenglen. Pierwsza to słynna mistrzyni amerykańska w pływaniu, która zdobyła dwa lata temu podczas gier olimpijskich w Paryżu wszystkie rekordy pływackie, a która kilka dni temu przepłynęła wpław kanał La Manche między Calais i Dover.

Kanał ten, mierzący w tem miejscu około 20 mil angielskich, jest wyjątkowo niebezpieczny i trudny do opanowania nawet najlepszemu męskiemu pływakowi z powodu silnych wirów i prądów, tem większy jest więc triumf panny Ederle, że jako kobiecie, niespełna 18-letniej, ten nadzwyczajny rekord udało się osiągnąć. Wyszła zeń zupełnie zdrowo i bez najmniejszego szwanku ku żywiołowej radości całego kontynentu amerykańskiego. Teraz zaś dzienniki donoszą, że otrzymała olbrzymie „angagement", by występować w amerykańskich teatrach i kinach. Tak Amerykanie nagradzają wysiłki sportowe! Ale nie na tem koniec!

Oto hiobowa wieść się rozeszła w międzynarodowym świecie tennisowym, że od kilku lat mistrzyni świata w tennisie, Francuzka, panna Zuzanna Lenglen postanowiła zostać graczem profesjonalnym za skromnem wynagrodzeniem 30,000 funtów. Za cenę tę ma ona popisywać się przed amerykańską publicznością w różnych przygodnie zorganizowanych matchach. Dyskwalifikuje ją to oczywiście, do ubiegania się nadal o mistrzostwo świata w tennisie, ale zdania co do mądrości tego kroku są bardzo podzielone. Anglicy twierdzą, że jest to afront dla sportu, zaś Francuzi są dumni, że ich rodaczka nie będzie więcej grywać dla obcych oczu „na gapę". Mają do pewnego stopnia słuszność, jeżeli się weźmie pod uwagę kolosalne sumy, które zarabiały takie kluby tennisowe, jak w Wimbledon, Deauville lub Nicei, tylko dla tego, że utalentowana Zuzanna w nich grała. Z drugiej zaś strony pytanie, gdzie będzie można postawić granicę między sportem a business'em?

Stefan Kleczkowski.

Stylistyka

Mamy przed sobą dokument bardzo ciekawy pod względem stylu. — Rejent z Lubawy (Pomorze) pisze:

„Ponieważ Bank zastałem zamknięty zaprotestowałem załączony weksel przeciwko Bankowi Ludowemu w Lubawie jako domicyljatowi i przeciwko firmie Bank Konsumowy w Lubawie, jako akceptantowi dla mego zleceniodawcy z powodu niezapłaty o godz. 17.30".

Za tak skomplikowanie zredagowaną czynność zacnemu rejentowi w Lubawie należy się słusznie honorarjum, które ów pan precyzuje w następujący sposób:

Likwidacja!

Objekt 300 zł.

1) dezerwita Dol. 35.51	6.— zł.
2) ryczałt	1.60 „
3) opłata za drogę	2.— „
4) ryczałt	1.60 „
5) stempel	—.20 „
	11.40 zł.

Wszystko razem jest przepiękne.

1) za protest bierze się bez mała 4 procent od sumy weksla.

2) co znaczy „dezerwita"?

3) dlaczego rejent przerachowuje walutę wekslową na dolary według fantastycznego kursu zł. 8.448 za dolar?

4) co znaczy dwa razy wymieniona pozycja „ryczałt"?

5) kiedy nakoniec p. minister Makowski poskromi dzikie apetyty panów rejentów?

BELGJA RATYFIKUJE SZEŚĆ MIĘDZYNARODOWYCH KONWENCYJ PRACY.

W lipcu bieżącego roku zawiadomił rząd belgijski urzędownie Ligę Narodów, że Belgja ratyfikowała pięć międzynarodowych konwencyj pracy, a mianowicie:

1) konwencję o stosowaniu odpoczynku tygodniowego w przemyśle,

2) o prawie koalicyjnem robotników rolnych,

3) o stosowaniu bieli ołowiu w przemyśle,

4) o granicy wieku robotników młodocianych, zatrudnionych w charakterze maszynistów na statkach,

5) o obowiązkowym badaniu przez lekarzy pracowników młodocianych, zatrudnionych na statkach.

W historji międzynarodowego ustawodawstwa robotniczego, dokonanie ratyfikacyj powyższych ma tem większe znaczenie, że kilka dni temu Izby ustawodawcze belgijskie postanowiły przeprowadzić ratyfikację najważniejszej dotychczas uchwalonej konwencji, a mianowicie konwencji Waszyngtońskiej o stosowaniu 8-godzinnego dnia pracy w przemyśle.

Odnośny projekt ustawy przyjęty został przez belgijską Izbę Poselską niemal jednomyślnie 4-go czerwca b. r.; 28-go lipca zajmował się tą sprawą Senat i uchwalił ratyfikację 103-ma głosami przeciw 16-tu, odrzuciwszy poprzednio większością dwóch trzecich głosów wniosek, zmierzający do przeprowadzenia jedynie t. zw. „ratyfikacji warunkowej".

Listy do „Prawdy"

Gorzeń Górny, dnia 23 sierpnia 1926 r.

Wielce Szanownego Pana Redaktora

upraszamy najuprzejmiej o łaskawe wydrukowanie poniższego oświadczenia:

Dnia 24 lipca b. r. umarł Edward Słoński, poeta szczery, prosty, pełen szlachetnego liryzmu, gorący patrjota. Umarł w nędzy, ponieważ nie uganiał się za pokupną sławą.

Warszawski tygodnik „Wiadomości Literackie" przemilczał zgon ś. p. Słońskiego, nie notując go do dnia 22 sierpnia b. r. nawet w drobnej wzmiance. Pismo to, służące zdawałoby się propagowaniu kultury oraz wszechstronnemu informowaniu o sprawach z literaturą związanych, pominęło w sposób świadczący o demonstracyjnej tendencji fakt śmierci polskiego poety, którego żarliwie odczute wiersze w początkach wojny były pierwszemi kwiatami, jakie poezja rzuciła na tragiczną dolę polskiego żołnierza.

Niżej podpisani, zebrani przypadkowo i w danej chwili oddaleni od ogółu literackiego, w pełnem oburzeniu piętnują pogardliwe przemilczenie zgonu ś. p. Edwarda Słońskiego w tygodniku, który mieni się organem grupy poetów polskich, — jako czyn niegodny, obcy wszystkim czującym po polsku, bez różnicy poglądów politycznych.

Witold Hulewicz
Edward Kozikowski
Zbigniew Pronaszko
Przecław Smolik
Emil Zegadłowicz
J. E. Płomieński

Prosimy o wpłacanie prenumeraty.

MIĘDZYNARODOWE BIURO PRACY OGŁASZA KONKURS NA STANOWISKO WSPÓŁPRACOWNIKA POLAKA.

Aby podkreślić znaczenie, które Międzynarodowe Biuro Pracy przywiązuje do utrzymywania możliwie ścisłego kontaktu ze społeczeństwem polskiem, postanowił jego Dyrektor, Albert Thomas, zaangażować jeszcze jednego Polaka do zespołu urzędników Międzynarodowego Biura Pracy. Urzędnik ten ma być zaangażowany w drodze konkursu, który odbędzie się w październiku b. r. Do konkursu stanąć mogą wszyscy obywatele polacy z wyższem wykształceniem, obeznani dokładnie z zagadnieniami społecznemi i gospodarczemi i posiadający gruntownie język francuski, lub angielski, oraz dostatecznie ten z dwóch wyżej wymienionych języków, którego nie posiadają gruntownie.

Skoro się zważy, że należyte obsadzenie powyższego stanowiska posiada nietylko ogromne znaczenie ogólne, lecz, że warunki pracy są nawet na szwajcarskie stosunki wyjątkowo korzystne (początkowe uposażenie 13,700 franków szwajcarskich rocznie) wolno wyrazić nadzieję, że liczba kandydatów, którzy staną do konkursu, będzie należycie wielką i umożliwi zaangażowanie istotnie odpowiedniej jednostki.

Zgłoszenia do konkursu należy kierować przed 20-tym września b. r. do Oddziału Korespondencyjnego Międzynarodowego Biura Pracy, Marszałkowska 21, m. 4, na ręce Doktora Adama Rose.

SZKOLNICTWO ZAWODOWE w POLSCE

Ze wszystkich stron kraju, od rodziców, nauczycieli, a także i od maturzystów otrzymujemy listy z prośbą o opublikowanie ich. W listach tych znajdujemy powtarzające się jedno i to samo zaiste tragiczne pytanie: „Co ma począć maturzysta szkoły średniej ogólnokształcącej, jeśli warunki materjalne nie pozwalają mu poświęcić się studjom uniwersyteckim. A takich jest wiele, bardzo wiele, może połowa maturzystów szkół prowincjonalnych, dla których studja uniwersyteckie oznaczają przedewszystkiem poważny miesięczny wydatek na opędzenie kosztów utrzymania i mieszkania w mieście uniwersyteckiem.

Po począć? Wyznajemy, iż rady nie mamy żadnej i za bezcelowe uważamy apelowanie do społeczeństwa. Świadectwo dojrzałości dzisiejszej szkoły średniej ogólnokształcącej daje prawo wstępu tylko na uniwersytet — nie stanowi zaś żadnej kwalifikacji w walce o byt — o stanowisko — o posadę. I na to żaden apel do społeczeństwa nie pomoże. Przemysł, handel, banki — każda gałąź przedsiębiorczości gospodarczej nie szukają tanich praktykantów o nieokreślonych kwalifikacjach, z których dopiero mogą stać się kiedyś dobrzy, inteligentni i uzdolnieni pracownicy — szukają sił do pracy już przygotowanych, zdolnych natychmiast stanąć przy wskazanym warsztacie. Tego wymaga interes przedsiębiorstwa, które ma inne cele, niż kształcenie lub dokształcanie pracownika. Od tego jest szkoła.

I tu dochodzimy do sedna. Nasze szkolnictwo średnie pracuje oderwane od życia społeczeństwa i państwa i dlatego produkt swój — maturzystę — rzuca w próżnię przeważnie.

Poniżej zamieszczamy artykuł, ilustrujący opłakany stan szkolnictwa zawodowego w Polsce i jeszcze bardziej opłakaną frekwencję w tej gałęzi szkolnictwa. A życie na każdym kroku woła o fachowców, o siły, przygotowane do pracy w przemyśle, handlu, rolnictwie, rękodziełach, o siły, które zdolne byłyby podnieść naszą przedsiębiorczość gospodarczą na wyżyny, dostępne dla niej w Polsce łatwiej niż gdziekolwiek indziej.

W następnym numerze znajdzie się druga część tego wysoce aktualnego i interesującego artykułu.

* * *

I.

Z pośród różnych działów szkolnictwa najmniej może znane jest społeczeństwu szkolnictwo zawodowe, choć się o niem zwłaszcza w ostatnich czasach tyle mówiło, choć się je przeciwstawia szkolnictwu średniemu ogólnokształcącemu jako jedną z dróg, które mają wpłynąć na przemianę sił i wartości społecznych.

Szkolnictwo zawodowe w Polsce znajduje się właściwie dopiero w zaczątkach, w fazie organizowania i prób. O jego skromnem jeszcze życiu świadczą choćby cyfry budżetu, w którym na rok 1926 preliminowano na szkolnictwo zawodowe zaledwie 16 miljonów złotych, to znaczy trochę więcej niż połowę sumy przeznaczonej na szkoły średnie ogólnokształcące, a jedną dwunastą kwoty, którą preliminowano na szkolnictwo powszechne. W stosunku do całokształtu budżetu Ministerstwa Wyznań Religijnych i O. P. na szkoły zawodowe przeznaczono zaledwie 5 proc. Zaznaczyć jeszcze należy, że wydatki na szkoły zawodowe są właściwie jeszcze mniejsze, bo odliczyć od nich należy jeszcze 1,600,000 dochodów, jakie przynoszą warsztaty, pracownie, gospodarstwa rolne przy szkołach, opłaty uczniów i t. p.

Wydatki pokrywają w olbrzymiej większości uposażenie 120 dyrektorów, 768 nauczycieli, 32 asystentów, 368 instruktorów, nadto lekarzy, dentystów, urzędników administracyjnych i woźnych. Duże sumy pochłania pomieszczenie szkół i remont, bo aż miljon złotych, a nadto urządzenie lokali szkolnych i zakup pomocy naukowych (2,100,000). Ta ostatnia pozycja świadczy najlepiej o owem organizacyjnem stadjum szkolnictwa zawodowego. Fundusz obrotowy stosunkowo niewielki, bo wynosi zaledwie 335,000 złotych. Również bardzo skromnie przedstawiają się kwoty przeznaczone na metodyczne dokształcanie nauczycieli, na wycieczki naukowe, na prace programowe i recenzje, bo w sumie ledwie 41,000 złotych. Nie można też uznać za wystarczające kwot, przeznaczonych na stypendja dla uczniów (70 tysięcy złotych), na zasiłki dla prywatnego szkolnictwa zawodowego (pół miljona zł.) i na zasiłki dla instytucyj, opiekujących się młodzieżą (przeszło sto tysięcy zł.). Wreszcie kwota pół miljona preliminowana na nowe zakłady szkolne też wydaje się znikomo małą, choćby ją nawet zwiększyć o 2½ miljona złotych, przeznaczonych na nowe budowle.

Z funduszów tych utrzymuje Państwo (nie licząc Śląska) 266 szkół i kursów, czyli, że liczba państwowych szkół i kursów zawodowych odpowiada ściśle liczbie państwowych szkół średnich ogólnokształcących. Udział jednak Państwa nie we wszystkich szkołach jest jednakowy, bo w liczbie 266 około 25 pozostaje tylko częściowo na etacie państwowym, czyli, że udział pańswa w utrzymaniu szkół zawodowych jest znacznie mniejszy niż w utrzymaniu szkół średnich ogólnokształcących. Dla orjentacji dodać jeszcze należy, że z tych 266 szkół aż 159 ma charakter szkół i kursów dokształcających.

Rozmieszczenie państwowych szkół i kursów nie licząc 34 szkół podległych bezpośrednio Ministerstwu, przedstawia się niejednolicie, a mianowicie jest ich

w województwach centralnych	26
w województwach wschodnich	9
w województwach zachodn.	167 (bez Śląska)
w województwach południowych	30

Zaznaczyć jednak należy, że wśród tych 167 szkół i kursów w woj. zachodnich 157 przypada na szkoły i kursy dokształcające. Gdybyśmy odliczyli szkoły dokształcające, to na pierwszy plan wysunie się okręg krakowski z 14 szkołami i okręg warszawski z 13 szkołami, potem poznański (7), po 5 lwowski, łódzki, po 4 lubelski, wileński, po 3 białostocki i pomorski, 1 poleski. Na podstawie tych danych w zestawieniu ze stosunkami gospodarczemi stwierdzić musimy, że brak równomierności w rozkładzie sieci państwowych szkół zawodowych.

W stosunku do r. 1925 szkolnictwo zawodowe wzrosło zaledwie o 7 szkół państwowych.

Oprócz szkolnictwa państwowego posiadamy jednak jeszcze prywatne wzgl. samorządowe i społeczne szkoły i kursy zawodowe i dokształcające, które korzystają z pomocy państwowej nietylko pobierając zasiłki rządowe, lecz nadto czerpią subwencje z 20 proc. dodatków od podatków przemysłowych, które np. w woj. łódzkiem wynosi około 600,000 zł. rocznie. Te kwoty ułatwiają znacznie Ministerstwu W. R. i O. P. utrzymywanie, rozbudowę i doskonalenie szkół. W wykazie szkół zawodowych, wydanym przez Ministerstwo W. R. i O. P. w roku 1924 znajdujemy 733 szkół wogóle, jeśli zatem odliczymy 259 szkół państwowych, przekonamy się, że prywatnych szkół i kursów zawodowych posiadamy 474. Ogólna zatem suma jest mniejsza od liczby państwowych i prywatnych szkół średnich ogólnokształcących, jeśli się zaś weźmie pod uwagę liczbę uczniów, to przekonamy się, że uczęszcza ich prawie jedna trzecia w stosunku do młodzieży szkół średnich ogólnokształcących. To również świadczy, że w stosunku do zagranicy, gdzie szkoły zawodowe wykazują olbrzymią przewagę, stoimy jeszcze na bardzo niskim poziomie. Jako przykład celem porównania dość przytoczyć statystykę, dotyczącą szkolnictwa w Wiedniu w roku szk. 1924/25. W szkołach powszechnych znajdowało się tam 161,000 uczniów, w szkołach średnich ogólnokształcących 21,650, a w szkołach przemysłowych 40,000 młodzieży, nie licząc 4-ch akademij handlowych, 10 dwuklasowych szkół handlowych i 5 wyższych szkół technicznych. Tymczasem zaś w o połowę mniejszej Warszawie w r. szk. 1923/4 było 74,903 dzieci w szkołach powszechnych, a 30,493 w szkołach średnich. A ile w szkołach zawodowych?

Dlatego też konieczną jest rzeczą, by społeczeństwo baczniejszą zwróciło uwagę na szkolnictwo zawodowe, by przestało deklamować o potrzebie fachowego przygotowania, ale zaczęło realizować prawdziwie demokratyczne poglądy na życie i oddawało swe dzieci do tych szkół, które naprawdę zapewnić mogą nietylko kawałek chleba, ale i odpowiedni poziom intelektualny. Musimy wreszcie zdać sobie sprawę, że również i strona wychowawcza w szkołach zawodowych równie wielkiej trosce podlega, jak w innych szkołach, udział zaś w tem szkolnictwie dzieci z warstw t. zw. inteligentnych podniesie przez wniesienie przez dzieci tych warstw pewnych nałogów i zainteresowań kulturalnych, towarzyskich, estetycznych czy umysłowych i etycznych ogólny poziom warstw zawodowych i przyczyni się do zbliżenia się tych dziś tak często przepaścią od siebie oddzielonych warstw społecznych. Zbliżenie się i zmieszanie w szkole zawodowej przy pracy, a następnie przy warsztacie, wpłynie dodatnio na dalsze ukształtowanie się społeczeństwa, w którem praca, a nie pochodzenie będzie jedyną podstawą do oceny wartości człowieka.

Nik.

ELEKTROWNIA ŁÓDZKA

(List do Redaktora „Prawdy")

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z wydaną przez Magistrat m. Łodzi broszurą, wyjaśniającą sprawę udzielenia uprawnienia na Zakład Elektryczny Łódzki (Sprawa Elektrowni w Łodzi, Łódź 1926), pojawił się w numerze 34 Tygodnika „Prawda" z dnia 22 sierpnia r. b. artykuł o Elektrowni Łódzkiej.

Stwierdzam, że jest to dopiero pierwszy artykuł w prasie łódzkiej, który starał się postawić na poważnym gruncie tę tak skomplikowaną sprawę, gdyż nie można nazwać poważnemi dwóch artykułów w jednem z codziennych pism miejscowych, gdzie widocznem jest, że polemizujący autor artykułów albo nie czytał broszury, albo jej nie zrozumiał, co właściwie na jedno wychodzi.

Jednakże, pomimo poważnego tonu artykułu w „Prawdzie", nie mogę się zgodzić z autorem pod wielu względami. Otóż w błędzie jest autor, jeżeli twierdzi, że Magistrat m. Łodzi z własnej woli oddał Elektrownię Łódzką ludziom „obcym". Byłoby tak, gdyby koncesja na Elektrownię Łódzką była czystą kartą, na której Zarząd Miejski mógłby wypisać to, coby uznał za wskazane oraz zgodne z interesami miasta. Zarząd jednakże Miejski musiał się liczyć z udzieleniem koncesji za czasów rosyjskich i z tem, *że miarodajne czynniki państwowe uznały prawo własności dawnych koncesjonarjuszy* (podkreślenie redakcji — patrz uwaga końcowa). Z tych względów Zarząd Miejski miał do wyboru: albo wykupić Elektrownię na warunkach, wskazanych w broszurze na str. 15, t. j. zapłacić około 30 miljonów zł., albo też oddać Elektrownię w ręce jej dotychczasowych właścicieli, czy to na zasadach dawnej koncesji, czy też na zasadach nowego uprawnienia. O tem, aby w kraju można było pożyczyć w tym czasie 30 miljonów zł. na wykup Elektrowni, nie może być mowy. W ciągu 5 lat pertraktacyj nikt z poważnemi propozycjami pod tym względem się nie zwracał. Tembardziej było niemożliwem wydatkowanie na ten cel 30 miljonów złotych z funduszów miejskich w czasie budowy kanalizacji i w czasie zastoju w Łodzi. Jeżeliby można było pożyczkę taką otrzymać, to chyba na bardzo ciężkich warunkach zagranicą i pozostałoby w takim razie status quo: ci sami lub inni „obcy" ludzie, a nie kapitały krajowe. Z tych względów Magistrat mógł tylko starać się o to, aby zmienić na lepszą dawną rosyjską koncesję.

Autor artykułu twierdzi, że można było pozostawić Elektrownię pod Zarządem Państwowym. Tak — gdyby to pozostawienie dawało szanse załatwienia w przyszłości tej sprawy lepiej, aniżeli obecnie, z chwilą wejścia w życie nowej projektowanej ustawy, regulującej likwidację własności obywateli b. cesarstwa rosyjskiego. W broszurze wykazaliśmy, że nie można się spodziewać, aby w warunkach łódzkich ustawa ta dała lepsze szanse przeprowadzenia sprawy Elektrowni (str. 11 i 12 broszury). I z tych względów Zarząd Miejski nie uznał za stosowne czekać na wyjście ustawy. W dalszym ciągu autor artykułu twierdzi, że Zarząd Miejski miał prawo tak postąpić, ale nie był do tego zmuszony. Oczywiście przymusu żadnego nie było, ale przecież moralnym przymusem Zarządu Miejskiego jest w odpowiednim momencie załatwić aktualne sprawy. Sprawa Elektrowni była omawiana w ciągu 5 lat na niezliczonej ilości zebrań i nikt, z wyjątkiem Tow. Kresów Zachodnich z p. Pogonowskim na czele, nie kwestjonował celowości takiego właśnie, a nie innego załatwienia tej sprawy. Natomiast były wysuwane jedynie argumenty uzyskania od koncesjonarjuszy większych ustępstw ewent. kwestjonowano zdolność prawną koncesjonarjuszy. W broszurze w dostatecznej mierze dowiedziono, że Magistrat, co do pierwszej kwestji, zrobił wszystko, co tylko było do zrobienia, a druga sprawa, z chwilą wyznaczenia do podpisania aktu przez Rząd radcy Prokuratorji Generalnej, przestała być aktualną.

Mówi się w artykule, że Zarząd Miejski, dbając o kasę miejską, nie dbał o interesy spożywców, a specjalnie o interesy spożywców energji dla celów przemysłowych. Abstrahując od kwestji wykupu, Zarząd Miejski miał alternatywę: albo stan poprzedni, t. j. Zarząd Państwowy, któryby rządził na zasadzie starej koncesji rosyjskiej, albo stan obecny.

Jeżeli się porówna starą koncesję z nowem uprawnieniem, co zostało fachowo przeprowadzone w artykule p. inż. Brzozowskiego (patrz broszura str. 49), to należy uznać, że nowa koncesja w całym szeregu wypadków jest dla wszystkich spożywców energji elektrycznej dogodniejsza, aniżeli poprzednia, a więc tak samo dla spożywców energji elektrycznej dla celów przemysłowych. Należy zwrócić uwagę i na to, że nowa koncesja daje egzekutywę w razie niespełnienia zobowiązań koncesjonarjusza, czego w poprzedniej koncesji nie było.

Wreszcie autor artykułu wskazuje, że dokumentami Magistratu są fachowe artykuły inż. Brzozowskiego. A jakież mogą być inne dokumenty?

Tak jest, ścisłe, fachowe, żmudne wyliczenia, zestawione przez fachowców, dające obraz porównawczy różnych sposobów załatwienia sprawy, skłoniły Zarząd Miejski do takiego sposobu załatwienia sprawy, jaki w ostateczności został przyjęty.

Dziękując za łaskawą gościnę na łamach Pańskiego poczytnego pisma, łączę wyrazy poważania

inż. W. Wojewódzki
wiceprezydent m. Łodzi
przewodniczący Wydziału Przedsiębiorstw Miejskich.

24.VIII. 1926 r.

* * *

Nie jest naszym zamiarem wszczynanie polemiki w sprawie przesądzonej. Jeśli wróciliśmy do niej — to dlatego, że mamy zamiar opublikować kilka uwag o obecnej polityce taryfowej elektrowni łódzkiej i tylko w związku z tem poświęciliśmy kilkadziesiąt wierszy broszurce Magistratu łódzkiego w sprawie elektrowni.

Wątpliwości nasze co do tego, czy zasadnicza sprawa: zwolnienie elektrowni z zarządu państwowego i wydanie jej obecnym jej właścicielom rozstrzygnięta została słusznie, a nawet ważniejsza z korzyścią dla państwa, miasta i przemysłu łódzkiego, dla którego elektrownia jest źródłem siły, a więc pierwszorzędnym czynnikiem rozwoju, a temsamem czynnikiem o znaczeniu ogólno gospodarczem (swego czasu kilka strumyków zadecydowało o powstaniu dzisiejszej przemysłowej Łodzi — dziś rabunkowo eksploatowana elektrownia rozwój ten może zahamować) — wątpliwości te odnoszą się raczej do postępowania rządu w całej tej sprawie.

W pewnem miejscu swej broszury (str. 7 i str. 13) Magistrat, jako jej autor, daje wyraźnie poznać, że i jego zdumiewa postępowanie rządu, który w lutym twierdzi, że osoby, domagające się wydania elektrowni nie posiadają legitymacji prawnej ku temu, a w sierpniu bez widocznej przyczyny, a co ważniejsza, bez dokumentalnego podkładu coś wręcz przeciwnego.

Nas postępowanie to zdumiewa dotychczas.

Oczywiście, jeśli Magistrat stanął na stanowisku, że skoro Varsovia locuta — causa juridica finita — dalsze jego postępowanie było zupełnie poprawne. Przyjmując decyzję rządu za nieomylną, obowiązującą i niewzruszalną, nie pozostawało nic innego, jak tylko alternatywa: albo zapłacić 30 miljonów franków złotych i posiąść elektrownię, albo oddać ją i uzyskać jaknajlepsze warunki, lepsze zwłaszcza niż dawała dawna koncesja. Niedorzeczności pierwszej koncepcji nie trzeba długo udowadniać — chyba opozycjonistom dla zasady lub niedorozwiniętym.

Z realizacji koncepcji drugiej zdaje Magistrat sprawę w swej broszurce i pod tym względem poważniejsze zarzuty się nie nasuwają. Jeśli zaś w dzisiejszej praktyce wychodzą na jaw usterki tej roboty, to więcej tu winy ludzi z elektrowni niż Magistratu. Lojalność, nie szukająca obrony w kruczkach, nie jest często spotykaną cnotą.

Ale dlaczego Magistrat na tem stanowisku stanął, czy stanąć musiał, w broszurce nie powiedziano, ani — jeśli musiał — dokumentami (pieczęć, stemplowy papier i podpisy) a nie argumentami (artykuły fachowców) nie udowodniono.

Rząd powinien wprawdzie być autorytetem wystarczającym — ale u nas różnie bywało i różnie się działo w tych rządach, czy ministerstwach.

(Autor artykułu „Elektrownia Łódzka").

WIADOMOŚCI STATYSTYCZNE

(Nakładem Głównego Urzędu Statystycznego).

Ukazał się Nr. 16 Wiadomości Statystycznych. Na bogatą treść numeru złożyły się:

Koszty utrzymania w miastach według obliczeń komisyj lokalnych. Wskaźnik pełny (miesięczny) cen hurtowych. Wskaźnik cen detalicznych Gł. U. St. Ceny hurtowe w Polsce. Ceny detaliczne w Warszawie. Przegląd Międzynarodowy (ceny giełdowe zbóż i ceny detaliczne). Wskaźnik cen miejscowych ziemiopłodów i paszy. Ceny miejscowe ziemiopłodów, paszy i inwentarza żywego.

Bank Polski. Izby rozrachunkowe. Kursy papierów procentowych i akcyj na giełdzie Warszawskiej. Kursy dewiz w Warszawie. Obieg pieniężny.

Wydatki i dochody Państwa. Obroty giełdy pieniężnej w Warszawie. Wkłady oszczędnościowe w kasach oszczędności i spółdzielniach kredytowych. Bilans płatniczy Polski za rok 1923 i 1924. Handel zagraniczny Rzeczypospolitej Polskiej za miesiąc lipiec b. r. oraz za okres styczeń — lipiec 1926 r. w porównaniu z temże okresem 1925 roku.

Rynek pieniężny i giełda

Okres sprawozdawczy przyniósł bardzo znaczną zwyżkę wszystkich papierów giełdowych — której spodziewano się dopiero w pierwszych dniach września. Bezpośredniemi przyczynami tak nagłej „haussy" były: 1) przywrócenie wolnego handlu walutami odbierające „czarnej giełdzie" możność spekulowania i zmuszające ją do szukania innego zajęcia. 2) Stabilizacja złotego. 3) Zwyżka akcyj na giełdach berlińskiej, wiedeńskiej i praskiej. 4) Zniżka stopy procentowej na rynku prywatnym i w bankach, skłaniająca kapitalistów do wycfania się z operacyj lokacyjnych i próbowania szczęścia na rynku akcyjnym. 5) poprawa położenia gospodarczego państwa, a szczególnie ożywienie się przemysłu.

Podawane codziennie przez prasę wiadomości o wybitnie aktywnie kształtującym się bilansie handlowym i płatniczym, o wzrastającym z dnia na dzień eksporcie naszych surowców, narzędzi rolniczych, skór, materjałów włókienniczych, cementu etc. o pomyślnych zbiorach i znacznych zapasach zboża, pozostałych z roku ubiegłego — wszystko to usposobiło giłdę nader optymistycznie.

Za sprawą czujnej i ruchliwej sfery spekulantów zawodowych, która każdą pomyślną nowinę momentalnie wykorzystywała — ruch na rynku akcyjnym bardzo się ożywił. Kapitał wycofany, jak wspomnieliśmy wyżej, z operacyj lokacyjnych i walutowych przyczynił się wydatnie do zwiększenia obrotów, które wracają powoli do swego normalnego stanu.

Akcje i bardziej ruchliwe papiery procentowe, które na początku lipca podniosły się o kilkadziesiąt, a w niektórych wypadkach nawet o kilkaset procent — uzyskały w ostatnich 14-tu dniach dalszą kilkudziesięcioprocentową zwyżkę.

Z akcyj bankowych podniósł się najbardziej Bank Zj. Ziem Polskich — który zyskał przeszło 120 proc., następnie Bank Zachodni i Handlowy. Bardzo ruchliwe były akcje Banku Polskiego. Interesowano się także akcjami słabiej finansowo stojących banków.

W grupie papierów metalurgicznych cieszyły się popytem „Ostrowieckie", „Starachowice", „Rudzki", „Modrzejów", „Parowóz" i „Lilpopy" nabywane także po części na zlecenie banków zagranicznych oraz „Zieleniewski" poszukiwany silnie na giełdach krakowskiej, lwowskiej i wiedeńskiej.

Akcje cukrowe cieszyły się wielkim popytem. Rekordową zwyżkę osiągnęły akcje włókiennicze „Zawiercie" i „Żyrardów" oraz akcje „Warszawskiego Towarzystwa Kopalń Węgla".

Z papierów naftowych poszukiwano szczególnie akcyj Polskiego Przemysłu Naftowego i „Polskiej Nafty". Ostatnia podniosła się o przeszło 40 proc., co przypisać należy prze prowadzonej w towarzystwie reorganizacji, a przedewszystkiem bardzo poważnemu zmniejszeniu kosztów administracyjnych oraz zwiększeniu produkcji. Należący bowiem do wspomnianego towarzystwa szyb „Wilson" czyli „Polska Nafta 6" zaczął od kilku dni dawać po dowierceniu go na głębokości 1520 m. — jeden wagon ropy dziennie — co daje około 50,000 zł. miesięcznie.

Dalsze wiercenia, podjęte w tym szybie zapowiadają się bardzo korzystnie i dadzą według zdania geologów do 15 wagonów ropy dziennie.

Prezesem Towarzystwa „Polska Nafta" pozostał po reorganizacji nadal dyrektor Polskiego Banku Przemysłowego dr. Słuszkiewicz, wiceprezesem wybrano p. Adama Bielskiego, dyrektorem zaś dr. Stanisława Łęckiego.

* * *

Obrót dzienny na giełdzie dewiz wynosił w tygodniu ubiegłym 386—290—170 tysięcy dolarów. Całe zapotrzebowanie pokrywał Bank Polski. Firmy handlowe i przedsiębiorstwa bankowe bez praw dewizowych dopuszczone już obecnie do tranzakcyj walutowych, większego udziału w obrotach nie brały.

Dewizę na New-Jork notowano od wtorku 9,02, dolary gotówkowe 8,99. Z dewiz europejskich wykazywały znaczne wahania Belgja, Paryż i Medjolan.

Dolary notowano w obrotach prywatnych i międzynarodowych 9,03 do 8,99 przy małym ruchu i braku odbiorców. Za ruble złote płacono 4,73 co przy parytecie 52,65 odpowiada stosunkowi 8,99 za 1 dolar.

* * *

W Nr. 86 Dziennika Ustaw z dnia 20-go sierpnia b. r. zostało ogłoszone rozporządzenie w sprawie regulowania obrotu dewizami i walutami zagranicznemi oraz obrotu pieniężnego zagranicą. W myśl tego rozporządzenia zakup i sprzedaż walut zagranicznych wewnątrz kraju są dozwolone. Przekazywanie natomiast walut obcych zagranicę jest dozwolone tylko za pośrednictwem Banku Polskiego oraz banków dewizowych.

Bankom dewizowym wolno przekazywać waluty wyłącznie na zapłatę zobowiązań zagranicznych, wynikających z przywozu towarów, na zaliczki za sprowadzone z zagranicy towary, na spłaty długów zagranicznych wraz z odsetkami — o ile są gospodarczo uzasadnione, na wypłatę dywidend akcjonarjuszom zagranicznym, na zapłatę premij asekuracyjnych, na pokrycie kosztów utrzymania zagranicą do wysokości 1000 zł. parytetowych miesięcznie na rodzinę, oraz na wszystkie inne płatności gospodarczo uzasadnione do 1000 zł. parytetowych.

We wszystkich innych wypadkach — wymagane jest zezwolenie władzy skarbowej. **Pieniądze w gotówce polskiej lub obcej,** czeki i przekazy mogą być wysyłane tylko za specjalnem zezwoleniem władzy skarbowej. **Wywóz** zagranicę pieniędzy w gotówce, czekach, przekazach, akredytywach oraz wszelkich zobowiązaniach pieniężnych, zarówno w walucie krajowej, jak i obcej z wyjątkiem weksli dozwolony jest bez zezwolenia do wysokości 1000 złotych parytetowych na każdą osobę, legitymującą się osobnym paszportem zagranicznym.

Na wizę wielokrotną można przewieźć 1000 złotych parytetowych lub ich równowartość w walucie obcej **jeden raz miesięcznie.**

Do Gdańska można przewieźć równowartość 210 złotych parytetowych.

Eksporterzy drzewa, ropy, produktów rolnych, nabiału, nierogacizny, gęsi, bydła rogatego, koni oraz bekonów oddawać muszą wszystkie waluty do Banku Polskiego.

Natomiast inkasowanie należności za inne wywozowe artykuły dozwolone jest także za pośrednictwem banków dewizowych.

Awil.

KWIATKI

Wiadomości z okolicy Płazowo.

W „Dzienniku Pomorskim" z dnia 24 sierpnia znajdujemy taką „korespondencję":

Wioska nasza wprawdzie niewielka, ale i nie najmniejsza położona jest tuż nad szosą Tuchola—Bysław. Ziemia wprawdzie po większej części lekka. Życie płynie tu jak i wszędzie swem trybem codziennym. Ponieważ jak już wyżej zaznaczono wioska leży nad szosą ruchliwą zauważa się dużo przejeżdżających tędy samochodów i furmanek. Roku ubiegłego kursował tą szosą autobus z Bysławia do Tucholi i nawet do Chojnic oraz z Bysławia do Świecia.

— W poniedziałek 16 sierpnia b. r. wydzierżawione zostało polowanie gminy Płazowo—Huta w lokalu p. Sadowskiego.

* * *

Szczęśliwe to Płazowo. Ma wprawdzie lekką ziemię, ale zato ludziska mają niebylejakie sensacje: oglądają przejeżdżające po szosie samochody i furmanki — w ubiegłym roku widzieli nawet autobus.

Ale co to za dziwne zamiłowanie mają Płazowianie? Na co oni polują w mieszkaniu p. Sadowskiego i czego używają na tych polowaniach: proszku perskiego czy gazów trujących?

* * *

W tym samym numerze „Dziennika Pomorskiego" znajdujemy jeszcze korespondencję z Raciąża. I czytamy:

„Jak się okazuje, pożar był spowodowany przez zemstę. Mianowicie niezamężna robotnica Gilkówna chciała pokarać dawniejszego amanta swego, który jej się sprzeniewierzył, i podpaliła stajnię do niego należącą, w mniemaniu, że, jak zwykle, właśnie tam nocował. Zagrożony zemstą zawiedzionej ku swemu szczęściu jednak był wówczas nieobecny".

* * *

Cudze chwalicie, swego nie znacie — nie wiedzieliśmy np. dotychczas, że w Raciążu na Pomorzu tak łatwo uszczęśliwić niezamężną — zawieść ją ku jej szczęściu — jak pisze racięski korespondent „Dziennika Pomorskiego. Wystarczy być jej amantem przez jakiś czas, a potem się sprzeniewierzyć i dobry uczynek spełniony — niezamężna zawiedziona jest ku swemu szczęściu.

Ale należy uważać, aby ta niezamężna była rodowitą raciężankę. Bo jeśli, jak widocznie była Gilkówna, jest z innej parafji i nie zna racięskich pojęć o szczęściu, to można wpaść.

Païva

Od ghetta moskiewskiego do pałacu książęcego na Górnym Śląsku.

Moskwa, rok 1819 — lat siedem po wielkim pożarze. W dzielnicy żydowskiej, pożarem nietkniętej, w jednej z tych niezliczonych wąskich, ciasnych, brudnych, nienazwanych uliczek, a raczej kątów, żyje biedak żydowina Mojżesz Lachman — tkacz.

Żona Lachmana podobno niegdyś była piękna — ale odkąd ospa twarz jej zeszpeciła, stłukła ostatnie lustro w mieszkaniu i nie myśli już o sobie — tylko o dziecku jedynem — o córce. Dziecko odziedziczyło piękność matki i może dlatego w siódmym roku życia otrzymało chrzest i aż trzy pompatyczne imiona Teresa - Paulina - Blanka.

Rok 1836. Blanka liczy lat siedemnaście i jest smukłą rasową żydóweczką o rysach nieco zbyt wyrazistych i rudawych włosach. Zakochał się w niej młody krawiec - francuz, Franciszek Villoing. Dziewczyna, ucieszona, że może opuścić dom rodziców, mówi tak i wychodzi za niego. Mieszkają w Moskwie i mają syna. Ale Blanka nie jest szczęśliwą. Ciasno jej w małej skromnej izdebce - pracowni. Męczą ją niepokojące sny — widzi w nich przepych i zbytek — bogactwo i potęgę dalekiego świata nieznanego. Śni jej się Paryż. W oczach żyją i błyszczą obrazki, oglądane na jawie w żurnalach paryskich męża-krawca.

W rok później Blanka porzuca męża. Przez trzy lata tuła się w Berlinie, Wiedniu, Konstantynopolu i Paryżu. Jest służącą, a często ulicznicą. Tygodnie żyje hucznie i w dostatku — miesiące spędza w nędzy. Na ławce przy Avenue des Champs Elysées pada wycieńczona i mdleje z głodu. Gdy się ocknęła przysięga uroczyście: „Na tem miejscu stanie kiedyś pałac, najpiękniejszy w Paryżu i moim będzie!"

Stała się zimną, wyrafinowaną rozpustnicą. „Okrucieństwo wyzierało z rysów tej twarzy i mówiło o przeszłości, która strach budzi" — pisali później w swych pamiętnikach Goncourtowie.

Licząc lat dwadzieścia dwa jest już znaną paryską kokotą. W roku 1841, mając trochę pieniędzy, wyjeżdża do Ems. Ems było wówczas międzynarodowo modnem kąpieliskiem. Tam poznaje ją i zakochuje się w niej znany ówczesny pianista Henry Hertz i chce się z nią ożenić. Ale żyje jeszcze pierwszy jej mąż — moskiewski krawiec Villoing. Pomimo to Hertz rozsyła wszystkim swoim znajomym karty, zawiadamiające o odbytym ślubie a Blanka Villoing, urodzona Lachman przybiera nazwisko Madame Henry Hertz.

Cztery lata trwa ten dziwny stosunek. W roku 1845 pianista opuszcza ją i udaje się w podróż artystyczną do Ameryki. Blanka zasłynęła z rozrzutności — Hertz ucieka przed wierzycielami.

I znowu znalazła się z niczem. Ale jedno jej pozostało: Zna ją teraz cały Paryż. Potrafi to wyzyskać. Modystka Camilla zaopatruje ją w bajeczne toalety i gotówkę — Blanka wyjeżdża do Londynu.

Sezon 1846 w Londynie. Przedstawienie w wielkiej operze się zaczęło — do jednej z lóż wchodzi w olśniewającej toalecie młoda, nieznana nikomu kobieta. Żywiej zabiły serca młodych angielskich dżentelmenów. Na drugi dzień ma już trzy oferty: syn bogatego hrabiego, bankier i właściciel przedsiębiorstwa okrętowego. Z zimną krwią rujnuje wszystkich trzech.

Krótko potem znowu jest w Paryżu. Tymrazem posiada brylanty i taki majątek, że może żyć niezależną. Wynajmuje zbytkowne mieszkanie, posiada konie i powozy. Zna ją cały Paryż, mówią o niej wszyscy, jest jedną z osobliwości Paryża, gwiazdą wśród półświatka.

Brak jeszcze wielkiego nazwiska — Villoing brzmi jakoś niedość wytwornie, a przytem to wspomnienie warsztatu krawieckiego.. Biedak Villoing, jakby uznawał słuszność tych kłopotów — umiera na suchoty w roku 1849.

Dwa lata później jest już markizą de Païva. Grand portugalski, przeputawszy ostatnie grosze, sprzedaje jej swoje nazwisko i wiekowe sprawdzone szlachectwo. Teofil Gauthier jest świadkiem ślubnym.

Po kilku miesiącach dochodzi do przekonania, że nie opłaca się żywić małżonka, a że w kontrakcie ślubnym przezornie przewidziano rozdział majątkowy, bez odszkodowania spuszcza go na bruk.

Majątek jej rośnie z roku na rok. W roku 1851, w kontrakcie ślubnym, oblicza go na miljon franków. Rujnują się dla niej najbogatsi, bo należy do dobrego tonu w świecie paryskim przebywać w towarzystwie Païvy. Pozatem gra na giełdzie z powodzeniem, skupuje akcje kolejowe i przemysłowe i pomnaża kilkakrotnie majątek w czasie nieustającej zwyżki tych papierów w latach 1853 do 1870.

Roztacza rzadko spotykany przepych i zbytek. Decyduje o modzie, posiada własną lożę w operze, i już w roku 1855 jest tak bogatą, że może przystąpić do budowy pałacu pod Nr. 25 przy Avenue des Champs Elysées, tam gdzie ongiś nieprzytomna z głodu padła na ławce.

Pałac wykończono dopiero w roku 1866 — ale bo też to był cud a nie pałac. Najwyszukańszy zbytek a przytem wytworny smak artystyczny. Najsłynniejsi artyści pracują nad upiększeniem go. Baudry maluje na jednym z sufitów swoje najlepsze dzieło: „Dzień zwyciężający noc". Postać przedstawiająca zwycięską boginię dnia jest portretem Païvy. Palais Païva posiada onyksowe schody, srebrne wanny w łazienkach i kosztuje sześć miljonów franków. Cały Paryż wędruje i jeździ codziennie tamtędy. Byłe koleżanki Païvy pękają z zazdrości.

Od roku 1857 Païva zmieniła tryb życia. Stała się cnotliwą. Posiada jednego tylko przyjaciela. Jest nim dwudziestosiedmioletni hrabia Gwido Henckel, właściciel dużych obszarów rolnych i górniczych na Górnym Śląsku. Jest więc w stanie zaspokoić najfantastyczniejsze zachcianki Païvy. Darowuje jej Pontchartrain, stary przepiękny zamek z 4000 morgów roli tuż przy rogatkach paryskich.

Ma już wszystko — brakuje jej jeszcze tylko salonu. Żyjąc z Hertzem, przyjmowała często artystów — ale gwiazdy u niej nie bywały. Henckel pomaga jej i od 1866 roku widzi Païva u siebie w swoim nowym pałacu co piątek kwiat i śmietankę paryskiego świata artystycznego. Bywają na Avenue des Champs Elysées: Girardin, i Augier, Houssaye i Taine, Sainte Beuve i bracia Concourt i wreszcie stary bywalec Teofil Gauthier, który grał rolę herolda Païvy i sławę jej w Paryżu roznosi. I Païva może śmiało powiedzieć, że posiada w Paryżu salon. Kuzynkę Napoleona III, księżniczkę Matyldę, dręczy to samo pragnienie. Żółknie więc z zazdrości, bo jej kółko powoli toczy się do salonów „ladacznicy".

Ale Blanka Lachman z ghetta moskiewskiego mierzyła jeszcze wyżej. Jej ambicje nie były jeszcze zaspokojone, nie osłabła nadludzka jej energja.

Po wybuchu wojny francusko-niemieckiej w roku 1870 musi opuścić Paryż i zamieszkuje w majątkach górnośląskich Henckela, który w tym czasie jest wojskowym prefektem Metzu.

Wraca jednak po zawarciu pokoju, a w październiku 1871 roku zostaje żoną Henckela, liczącego sobie wówczas 41 lat. Jest o 11 lat od niego starsza.

Wygląda jak wybrakowana aktorzyca, która nie chce zejść ze sceny. Twarz cała w emalji a na wierzchu biały puder i szmin-

Czy potrzebne jest Ministerstwo Robót Publicznych?

Przed kilku dniami prasa podała wiadomość, że Ministerstwo Robót Publicznych ma być zniesione, a zadania jego powierzone, jak to było w Rosji przedwojennej, Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i Ministerstwu Kolei, które jednocześnie zostanie przekształcone na Ministerstwo Komunikacji.

Czy aby w tym wypadku wzór Rosji przedwojennej jest godny naśladownictwa? Faktem jest przecie, że z chwilą wybuchu wojny europejskiej, kiedy kwestja sprawnego wykonywania robót państwowych na olbrzymich przestrzeniach, obejmujących sferę działań wojennych i tereny przyfrontowe stała się niesłychanie ważną, — wadliwość rozproszenia władz techniczno - budowlanych ujawniła się w całej pełni.

W braku instytucji rozporządzającej gotowym i jednolicie zorganizowanym aparatem wykonawczym, jakim winno być Ministerstwo Robót Publicznych, państwo zmuszone było powołać do życia, pod kierunkiem specjalnego zarządu przy sztabie naczelnego wodza, oddzielną organizację techniczno - budowlaną. Przykład więc Rosji powinien zachęcić raczej do skupienia i reorganizacji aparatu techniczno - budowlanego, niż do jego rozproszenia.

Min. Rob. Publ. zamiast być sprawnym organem wykonawczym w zakresie robót państwowych, jest tylko instytucją pośredniczącą przy sporządzaniu często niezliczalnych projektów, przy zawieraniu umów z przedsiębiorcami, wreszcie przy wykonywaniu formalnego nadzoru technicznego. Takie Min. Rob. Publ. rzeczywiście obciąża tylko niepotrzebnie budżet państwowy i służy głównie ku zadowoleniu i wygodzie osób, różne urzędy w niem sprawujących. Inny zupełnie pożytek byłby z tego ministerstwa, gdyby było ono dobrym, faktycznym wykonawcą robót państwowych, oszczędzając skarbowi wysokich kosztów pośrednictwa w postaci zysków całej rzeszy przedsiębiorców, traktujących w większości wypadków swe zobowiązania względem skarbu w sposób nie wspólnego z interesem jego nie mający.

Prawda, — istnieje zarzut, że państwo jest najgorszym przedsiębiorcą. Nie będziemy rozważać tego zarzutu w stosunku do innych gałęzi przemysłu, ale pozwolimy sobie wyrazić przekonanie, oparte na doświadczeniu na wielką skalę z wojny europejskiej, że nieprawdą jest, jakoby państwo nie mogło być dobrym przedsiębiorcą w zakresie wszelkiego rodzaju robót budowlanych. Dowodem służyć mogą wszystkie organizacje techniczno - budowlane, powołane do życia podczas wojny, a więc w warunkach trudnych, które, choć państwowe, oparte jednak były na zasadach handlowych i które doskonale wywiązywały się ze swych zadań. Pozwolimy sobie nawet twierdzić, że zadania te mogły być należycie spełnione tylko dzięki usunięciu z widowni wszelkich przedsiębiorców.

Sądzimy, że wszelkiego rodzaju roboty budowlane państwowe powinny i mogłyby być z wielkim pożytkiem dla skarbu ześrodkowane w Min. R. Publ., zreorganizowanem w tym najważniejszym swym dziale na zasadach handlowych, zbliżonych do tych, na jakich oparte są wielkie pokrewne organizacje prywatne. Jest to tem bardziej wskazane, że państwo posiada takie zasoby w naturze, takie urządzenia techniczne, takie wytwórnie, o jakich żaden interes prywatny marzyć nie może. Wszystko to mogłoby mieć szerokie zastosowanie przy robotach państwowych, bo czyż nie jest absurdem kiedy państwo, mając naprzykład wytwórnię klepek posadzkowych, z jednej strony zabiega u firm prywatnych o sprzedaż wyrobionej przez siebie klepki, z drugiej zaś strony tę samą klepkę potrzebną do własnej budowy nabywa z trzecich rąk za pośrednictwem wykonywującego tę budowę przedsiębiorcy.

Z poruszoną wyżej sprawą robót państwowych, niewłaściwie postawioną przez dotychczasowe Min. Rob. Publ., wiąże się cały szereg innych pokrewnych kwestji, które powinny być ujęte i rozwiązane przez jedną instytucję, mającą za zadanie uporządkowanie zagadnień państwowych w tej dziedzinie, a więc: załatwienie w drodze prawodawczej sprawy norm do analizy cen, normalizacja konstrukcyj budowlanych i t. p. Pracy dla zreorganizowanego Min. Rob. Publ. byłoby więc dużo, oby tylko nowa organizacja rzeczywiście odpowiadała zadaniom.

Pozwolimy sobie jedynie zwrócić uwagę na okoliczność, że trudno się łudzić nadzieją, iż zamierzona parcelacja Min. Rob. Publ. da jakieś oszczędności w budżecie państwowym, bo wszak instytucje obdarzone sprawami tego ministerstwa też będą potrzebować ludzi do ich załatwienia i należy wierzyć, że przedewszystkiem sięgną po redukowany personel tego ostatniego, przenosząc w ten sposób tradycje wadliwej organizacji kasowanej instytucji.

Pod względem poprawy w tej drodze samej organizacji techniczno-budowlanej też chyba żadnych złudzeń być nie może, bo mamy na oczach dość smutny przykład działalności niezależnego od Min. Rob. Publ. departamentu budownictwa przy M. S. Wojsk. Czy więc chodzi o utworzenie większej liczby takich departamentów? Nie! — to byłoby zupełnem zaprzeczeniem haseł głoszących, że dążymy do uzdrowienia stosunków panujących w naszym organiźmie państwowym. Rząd obecny zaznaczył, że jest rządem czynu. Skasowanie Min. Rob. Publ., zamiast jego wskazanej reorganizacji zgodnie z potrzebami państwa, byłoby nie czynem, a ucieczką od czynu.

Inż. J. Referowski.

ENTUZJAZM PRACY

„Będziesz pracować w pocie czoła!" Ten krótki wyrok, ogłoszony Adamowi, mieści w sobie dwojaki sens życia, i dwoiście rozszczepia psychę człowieka, wygnanego z raju bezczynności w dziką, tajemną i nieżyczliwą przyrodę. Wyrokiem tym powstał bowiem człowiek, walczący i dążący, człowiek, uświadamiający sobie zadanie swego bytu na ziemi, zdobywca tajemnic i budowniczy wygodnych dróg dla przyszłych pokoleń, słowem — człowiek, który pojął i uwierzył w wielkość słowa — „praca".

Jednocześnie jednak w wyroku wygnańczym tkwi przekleństwo wieczyście wymierzonej kary, identyfikujące pracę z trudem. A za tem idzie, że człowiek pracując, zawsze przeciw pracy się buntuje, że czuje się jakby galernikiem, wypełniającym termin ciężkiej kary. Przymus, konieczność, obowiązek stały się pojęciami niedostatecznie uśmierzającemi bunt sprzeciwu, stały się niejako szaremi, smętnemi, pełnemi rezygnacji regulatorami życia. I gdyby nie genjusz twórczy i wynalazczy człowieka, gdyby nie owe rozbłyski słoneczne umysłów, wyrosłych ponad przeciętną miarę — praca, wykonywana w „pocie czoła", przemieniłaby pobyt na ziemi w piekło dantejskie, w wieczystą mękę, w szaleństwo rozpaczy.

Tak więc dwoisty sens biblijnego wyroku odtworzył niejako ów dramat ludzkości, odgrywający się bezustannie, dramat, w którym rozdwojona „jaźń": pracy — trudu — objawia się raz w radości zwycięskiego czynu, to znowu w męce wykonywania dzieła.

A jednak w człowieku samym jest cud wyzwolenia się z pod przekleństwa niezadowolenia. Człowiek, gdyby zechciał, mógłby zakończyć dramat bytu zwycięstwem li tylko pracy, wzmocnić jej rezultat, oświecić ją blaskiem radości, utrzymać jej atrybuty boskie, jej boskie źródło, jej bezustannie rosnącą inwencję twórczą. Tą wewnętrzną, zwycięską wolą człowieka jest — entuzjazm.

Jeżeli mówimy o pracy, mamy na myśli cały kompleks ludzkich działań od najprymitywniejszych, aż do najbardziej skomplikowanych, od najniższych do najwyższych. Dla każdego z poszczególnych zajęć człowieka nic tak bardzo nie jest szkodliwe jak gnuśność, wynikła z niewolniczego, a jednocześnie buntowniczego wypełniania t. zw. obowiązku. Obowiązek jest nakazem zewnętrznym, przyswojonym sobie i umieszczonym na długiej liście wskazań etycznych. Obowiązek ma bowiem niejednokrotnie ekwiwalent materjalny, a nawet jego ideowe podłoże jest z reguły utylitarne. I choćby właśnie ową utylitarność obowiązku zwiększano coraz bardziej, nigdy nie nastąpiłoby istotne wyzwolenie się człowieka z pod przekleństwa męki, z pod buntu przeciw trudowi. Zawsze upersonifikowany symbol pracy będzie ocierać pot z czoła, zawsze praca sama wysokiemi odsetkami będzie opłacać ucucie przymusu i zużywana będzie energja czynu na sprzeciw, niezadowolenie lub choćby tylko zrezygnowaną obojętność.

Nigdzie może tyle, co u nas, w Polsce, nie należałoby propagować hasła: „entuzjazm pracy". Nie mam tu na myśli ani zwalczanych przez pewne warstwy „zdobyczy społecznych", nie obchodzą mnie cyfry statystyczne, bilansy, budżety, redukcje i produkcje. Jeżeli ograniczam moje pole patrzenia jedynie na Polskę, to czynię to dla tem dowod niejszego wykazania, że entuzjazm pracy jest podstawą szczęścia człowieka jako jednostki, a narodów i państw jako sumy. Zgóry się zastrzegam, że nie przeciwstawiam pracowitości — lenistwu, że temsamem nie wezmę pod uwagę naszego przysłowiowego zamiłowania do próżniactwa. Lenistwo i próżniactwo nie wejdą w zakres niniejszych roztrząsań, które odnoszą się jedynie do pracy samej, a właściwie do ustosunkowania się do niej człowieka.

Chodzi mi o bezpośredni stosunek człowieka do pracy, o kontakt najbliższy pomiędzy nim a wykonywanem działaniem. Jeżeli pomiędzy funkcję wykonawczą wcisną się cele uboczne bądź to zewnętrznie zagrzewające pracującego, bądź też osłabiające jego wolę czynu — stosunek do pracy staje się luźniejszy, praca przestaje być celem wprost i zmienia się albo w drogę, prowadzącą do celu innego, albo w katorgę. W jednym i w drugim wypadku praca sama nie sprawia zadowolenia, a co za tem idzie, zatraca się żywe, fluidalne, czy też sugestywne oddziaływanie pracującego na wykonywaną czynność. Bezduszność takiej pracy nie ulega wątpliwości.

W dziedzinie pedagogji sprawa zachęty do nauki niejednokrotnie zaprzątywała umysły badaczy. Ostatnio, zwłaszcza w szkołach amerykańskich, usiłują wyeliminować ambicję, opartą na konkurencji. Ze słusznego bowiem wychodząc założenia, twierdzą pedagogowie amerykańscy, że należy pobudzić w młodzieży bezpośrednie i czyste zainteresowanie do pracy. Zainteresowanie zaś zrodzi zamiłowanie.

Określenie: zamiłowanie nie jest zbyt odległe od entuzjazmu. Zamiłowanie ma jednak bliski kontakt z innem ważnem zagadnieniem, bo z wyborem pracy, z fachowością. Wybór pracy najbardziej odpowiadającej uzdolnieniu fizycznemu i umysłowemu jest bezwarunkowo jednym z najważniejszych czynników szczęścia jednostki. Niestety jednak warunki, stworzone przez środowiska, rozstrzygają prawie wyłącznie w wyborze pracy. Stąd też nie każda praca jest tą „umiłowaną", ale do każdej pracy można się odnieść z bezpośrednim zainteresowaniem, dla każdej pracy można znaleźć entuzjazm, za czem pójdzie twórcze oddziaływanie pracującego na wykonywaną pracę i wreszcie wzmożona wartość pracy.

Robotnik, murujący dom, rolnik, idący za pługiem, urzędnik załatwiający „kawałki", nauczyciel, lekarz, adwokat, kucharz, ogrodnik, zamiatacz ulicy — ci wszyscy, pracujący w pocie czoła, oddać muszą swojej pracy bezpośrednio, z mięśni i mózgu idącą energję, oddać ją z świadomą wolą, z entuzjazmem, aby dzieło było ożywione ich duchem i odpowiednio do wrodzonych zdolności wykonane jak najlepiej. W takim stosunku człowieka do pracy obowiązek może a nawet powinien odgrywać rolę podrzędną. Praca bowiem urośnie wówczas do wyżyn twórczych, stanie się „pięknem żywem" według słów J. N. Millera („Zaraza w Grenadzie" Nakładem księgarni F. Hoesicka, Warszawa 1926 r.). To jednak, co J. N. Miller nazywa poezją pracy, co chciałby wogóle widzieć jako żywą poezję, niemal bez odtwarzania jej w „dziele sztuki", w istocie powinno być tylko wyzwoleniem się z niewolniczej niechęci do pracy, z obojętności „spełniania obowiązku", z poczucia dziejącej się krzywdy.

I oto, dlaczego specjalnie u nas konieczne jest wszczepianie entuzjazmu pracy! Polak pracuje, bo musi, ale serdecznie swojej pracy nienawidzi. To też nigdzie na całym świecie niema tylu ludzi „niezadowolonych ze swojego zawodu". Byłoby przesadą szukać przyczyn nagminnego niezadowolenia jedynie w warunkach ekonomicznych naszego kraju, w braku np. uprzemysłowienia, w hiperprodukcji wolnych zawodów i t. p. Przyczyną jest to tylko niewolniczy, bezwładny, bezduszny stosunek do pracy. Im wyższy jest stopień cywilizacji, tem mniej jest helotyzmu w sposobie odnoszenia się do pracy i tem lepsze są rezultaty pracy. Uświadomienie sobie godności człowieka, jako jednostki twórczej, więc pracującej, jest jednocześnie wyzwoleniem się z pod przekleństwa —trudu i męki w pocie czoła. Zużywanie bowiem energji fizycznej i umysłowej na pracę jest celem naszego bytu. W pracy samej jest walka i nagroda, zdobywanie i zwycięstwo, konstruowanie i budowla. Jej motorem jest natchnienie twórcze, które promieniuje wprost na dzieło wykonywane, idąc bezpośrednio falą entuzjazmu od twórcy ku dziełu.

Niech się to nikomu nie wydaje ani przesadą, ani utopją. Wszak entuzjazm pracy zbudował Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, a niechętna praca niewolników zniszczyła imperjum rzymskie! Stary i oklepany dwuwiersz: „Czyń każdy w swem kółku, coć każe Duch Boży, a całość sama się złoży" — nie zaleca przecież nic innego, jak właśnie uduchowienie drobnego choćby zakresu pracy. Powie ktoś, że świat dążą do zmechanizowania pracy, że jeszcze ćwierć wieku, a człowiek stanie się tak bezdusznie sprawny, jak maszyna i na cóż wtedy zda się, zwłaszcza w pracy fizycznej, uduchowiony entuzjazm, twórcza inwencja i t. p. faramuszki? Na to możemy odpowiedzieć tylko tyle: dopóki inwencją pracy jest człowiek, dopóty praca będzie jego celem twórczym. Rękodzielnik, czy obsługujący maszynę robotnik muszą z jednaką świadomą wolą oddawać siebie pracy, jeżeli wartość pracy ma się równać wysiłkowi. Bardzo słusznie pisze cytowany powyżej J. N. Miller: „Praca jest ustawną, żywą, rozwijającą się w bezkresy, absolutną rzeczywistością bytu..."

Jeżeli więc zechcemy, skończy się dramat pracy — trudu radosnym triumfem li tylko pracy!

I. Stycz.

ka. Cztery masażystki i fryzjerki potrzebują codziennie po kilka godzin, aby ją „zrobić".

Drugie jej małżeństwo unieważnia Watykan. Paiva, którego nazwisko stało się fundamentem jej karjery, w nędzy stacza się na dno i w rok później kończy samobójstwem.

Przy trzecim swoim ślubie potrafiła zręcznie ukryć datę urodzenia i pochodzenie. Musi wprawdzie rozproszyć zręcznie przez Teofila Gauthier rozpowszechnioną legendę, jakoby była nieślubną córką wielkiego księcia Konstantego, brata carów Aleksandra I i Mikołaja I — ale udaje jej się opóźnić datę urodzenia o 7 lat, zrobić z biednego tkacza żydowskiego „kapitalistę" Lachmana, a z pierwszego męża krawca Villoing bankiera moskiewskiego. Tak też zapisano w akcie ślubnym, na mocy którego została hrabiną Henckel.

Małżeństwo pozostało w Paryżu i przyjmuje nadal w pałacu przy Avenue des Champs Elysées i w Pontchartrain. Artyści i uczeni znowu co piątek jadają u nich, ale stopniowo salony ich nabierają charakteru politycznego. Gambetta, przywódca republikański jest stałym gościem, a hr. Henckel pośredniczy między nim a Bismarkiem.

Naraz kończy się to wszystko. Mac Mahon zostaje głową państwa, we Francji budzi się ruch narodowy. Przypominają sobie, że Henckel w czasie wojny zajmował stanowisko w niemieckim zarządzie okupacyjnym na ziemi francuskiej i doradzał Bismarkowi, aby zażądał od Francji 7 miljardów kontrybucji.

Uważa się ich za szpiegów niemieckich — rząd francuski daje im do zrozumienia, iż należałoby im opuścić Paryż. Wyjeżdżają na Górny Śląsk i zamieszkują w Neudeck (obecnie Świerklaniec). Henckel buduje tutaj pałac w stylu Pontchartrain. Na odjezdnem z Paryża kupuje jeszcze dla żony słynny naszyjnik perłowy cesarzowej Eugenji.

Na Śląsku żyją osamotnieni. Conajwyżej bywają goście na polowaniach i kilku przyjaciół hrabiego. Magnackie rodziny śląskie nie chcą przyjmować Paivy. Henckel nie martwi się tem, bo w tym właśnie czasie zaczyna na wielką skalę organizować swoje przedsiębiorstwa górnicze i huty żelazne. Staje się najpotężniejszym magnatem przemysłowym na Górnym Śląsku. Paiva pomaga mu gorliwie doświadczoną radą i olbrzymim swoim kapitałem, który lokuje w jego przemysłowych przedsiębiorstwach.

W roku 1884 umiera. Stojąc nad jej trumną Henckel nie wie, czy jest najbogatszym, czy najbiedniejszym człowiekiem na Górnym Śląsku. Był to okres kryzysu po pierwszym gwałtownym rozkwicie Śląska i gdyby zgłosili się spadkobiercy Paivy, który kapitałami stały przedsiębiorstwa Henckel'a — nicby mu nie pozostało.

Próżne jednak były jego troski. Paiva zapisała mu wszystko. Zmarła bezdzietna. Jej syn z pierwszego małżeństwa z Villoing'iem zmarł jako 26-letni student medycyny na chorobę ojca — na suchoty. Córka Henrietta, dziecko które miała z Hertzem, zmarło w dwunastym roku życia.

W roku 1887 Henckel żeni się powtórnie z młodą rosjanką, z którą ma dwóch synów. W roku 1901 cesarz Wilhelm nadaje mu tytuł księcia Donnersmark. O Paivie nie zapomniał. „Była genjuszem przedsiębiorczości, jej radom tylko zawdzięczam moją fortunę". — Tak mawiał w gronie swych znajomych.

* * *

W krypcie książęcej w Świerklańcu na Górnym Śląsku w sarkofagu spoczywa Paiva — la juive errante et victorieuse. Od ghetta moskiewskiego aż do książęcego pałacu w Świerklańcu — jakaż to długa, stroma droga.

Pierwszym jej mężem był krawiec z moskiewskiego zaułka, ostatnim Gwido hrabia Henckel, książę Donnersmark, najbogatszy z magnatów pruskich, przyjaciel żelaznego kanclerza Bismarka i ostatniego władcy Prus.

Dziś większa część przedsiębiorstw przemysłowych, tworzonych przez księcia Donnersmarka dzięki radom i kapitałom Paivy, leży na ziemiach Polski. I jej grób także.

K. R.

Ubezpieczanie „warunków zewnętrznych“

Piękność i moda stanowiły zawsze pożądany kapitał życiowy, chociaż dopiero współczesne pokolenie w szerszej mierze zaczyna obracać tym kapitałem i ciągnąć z niego zyski i dochody.

Dzisiejsza Wenus nie zadawalnia się już jednem złotem jabłkiem, ofiarowanem jej w hołdzie przez Parysa, ale piękność swoją i urodę wystawia na scenie lub przed objektywem kamery filmowej na widok dla tysięcznych tłumów... za odpowiednią opłatą.

Kapitalistyczny sposób wyzyskiwania tego podarku losu, jakim jest piękność i uroda, pociąga za sobą naturalną i właściwą dla takiej metody ostrożnośćć i przezorność.

Kapitał w postaci klasycznych kształtów, anielskiej, czy też tylko fotogenicznej twarzyczki, „genjalnych“ palców, lub niestrudzonych nóg, nie jest trwałym. Grozi mu stanowczo więcej niebezpieczeństw i złośliwych przypadków niż kapitałowi w złocie czy innych dobrach. Stąd silniejsze jeszcze niż u kapitalistów z dorobku lub dziedzictwa dążenie do zabezpieczenia sobie korzyści także i na wypadek straty tego naturalnego kapitału.

Asekuracja pozwala w zadawalniający sposób pragnienie to zaspokoić. Piękne nogi, wspaniałe zęby, ramiona i ręce, stanowiące dla niektórych zawodów naturalny kapitał są ubezpieczane w towarzystwach asekuracyjnych na fantastyczne nieraz sumy.

Czasem także i brzydota jest kapitałem, dającym wielkie dochody. Zez np. jest poniekąd kalectwem szpecącem — a jednak jest człowiek zezowaty, który dzięki tej wadzie, jako aktor-komik, zarabia dziesiątki tysięcy dolarów i najgłośniejsze sceny licytują się w honorarjach, by pozyskać go dla siebie. Oczywiście Ben Turpin oczy swoje zezowate ubezpieczył w kilku towarzystwach asekuracyjnych.

Głośna artystka filmowa Ossi Oswalda za swój przyrodzony kapitał uważa swoją parę przepięknych nóg, wyćwiczonych w tańcu. Kapitał ten ubezpieczony jest na okrągły miljon dolarów na wypadek kalectwa skutkiem choroby lub nieszczęśliwego wypadku.

Tancerka rosyjska Vera Fokima, czarująca swą sztuką publiczność stolic świata, ubezpieczyła na równie wysoką sumę swoje nogi i ręce.

Głośne artystki dramatyczne oraz śpiewaczki za warunek umowy stawiają ubezpieczenie na pewną sumę na czas występów.

Jedna z diw operetkowych wymogła na dyrekcji londyńskiego teatru operetkowego ubezpieczenie na 100 tysięcy funtów szterlingów od jakiegokolwiek nieszczęśliwego wypadku w teatrze lub poza teatrem, skutkiem którego doznałaby uszczerbku jej wartość sceniczna.

Wypadki ubezpiecznia piękności rysów twarzy na wypadek oszpecenia z jakiejkolwie przyczyny są na porządku dziennym wśród artystek.

OBWIESZCZENIE.

Komornik przy Sądzie Okręgowym w Łodzi na starostwo Łaskie ALOJZY GAŁCZYŃSKI urzędujący w Łasku ogłasza, że dnia 10 września 1926 r. od godziny 10-ej rano w majątku ziemskim Potaźnia, gm. Widzew odbędzie się sprzedaż, przez publiczną licytację, ruchomości: 50 wozów parokonnyah niemłóconego żyta, 300 centnarów siana i 50 wozów parokonnych niemłóconego owsa, należących do Zygmunta Jurakowskiego oszacowanych na zł. 3500.

Łask, dnia 16.VIII 1926 r.

Komornik
Alojzy Gałczyński.

OGŁOSZENIE.

Magistrat m. Łodzi zarządza w drodze ulgi, aby płatnikom, którzy do dnia 31 sierpnia r. b. włącznie uiszczą w całości zaległe na rzecz kasy miejskiej podatki, doliczano odsetki za zwłokę w wysokości tylko 2%, licząc od ustawowych terminów płatności poszczególnych podatków. Po tym terminie odsetki będą doliczane w ustawowej wysokości, t. j. 4%.

Łódź, dnia 26 sierpnia 1926 roku.

Prezydent
w z. (—) W. Groszkowski.

Przewodniczący Wydziału Podatkowego
(—) I. Kulamowicz.

120

Karolewska Manufaktura

Karol Kröning i S-ka

Spółka Akcyjna w Łodzi.

Bilans zamknięcia na dzień 31 grudnia 1925 r.

STAN CZYNNY.	Zł. i gr.	STAN BIERNY.	Zł. i gr.
Posesje	78,310.—	Kapitał akcyjny	2,100,000.—
Budynki	629,570.58	Kapitał zapasowy	97,765.43
Maszyny	1,066,110.—	Kapitał amortyzacyjny	129,364.78
Inwentarz biurowy	16,051.76	Wierzyciele	2,481,273.34
Środki lokomocji	33,945.37	Akcepty	470,555.86
Nieruchomości B.	42,043.56	Obciążenia hipoteczne	106,466.70
Kasa	18,796.14	Dywidenda niewypłacona	105,001.40
Remesy	55,641.11	Remuneracja	70,000.—
Udziały	650.—	Sumy przechodnie	51,899.84
Papiery procentowe	54,102.—	Straty i zyski — Zysk do podziału	206,520.12
Dłużnicy	593,372.—		
Remanenty	3,106,320.42		
Sumy do stopniowego umorzenia	123,934.53		
	5,818,847.47		5,818,847.47

Rachunek Zysków i Strat za rok 1925.

Ogólny zysk w 1924 roku	Zł.	622,940.88		
Pozostałość zysku z 1924 roku	„	5,372.—	Zł.	628,312.88
Ogólne straty w 1925 roku	Zł.	71,128.70		
Spłata długów przedwojennych	„	12,257.57		
Zapłacone podatki w 1925 roku	„	276,589.86		
Zapłacone świadczenia w 1925 roku	„	61,816.63	Zł.	421,792.76
Zysk do podziału			Zł.	206,520.12

Bilans powyższy z rachunkiem zysków i strat oraz podział zysków zatwierdzony został przez Walne Zgromadzenie Akcjonarjuszów, odbyte w dniu 11 sierpnia 1926 roku w II-gim terminie.

Szkoła Zgromadzenia Kupców m. Łodzi

ul. Narutowicza Nr. 68.

Podaję do wiadomości Szanownym Rodzicom, iż egzaminy wstępne odbędą się w III-cim terminie w dniach 1, 2 i 3 września r. b. o godz. 4-ej po południu.

Otwartą zostanie kl. A dla nieumiejących czytać i pisać. — Czesne w tej klasie wynosić będzie 25 Zł. miesięcznie.

Podania do klasy A, podwstępnej, wstępnej i wyższych przyjmuje Kancelarja Szkoły codziennie do 31-go włącznie.

Dyrektor Antoni Idźkowski.

117

Ceny ogłoszeń: Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. | Ogłoszenia zwyczajne 25 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. | Ogłoszenia w tekście 40 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. | Drobne 10 groszy za wyraz.

Redaktor i wydawca: *Paweł Zielina.* Odbito w Drukarni Państwowej, Piotrkowska 85